MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 16 WARSZAWA, 12 KWIETNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

Animae candidae, electae, dilectae.

I

We WTOREK po niedzieli Męki Pańskiej, radjo-Roma nadawało audycję „Parsifala" z medjolańskiej „Scali". Kiedy rozbrzmiały djonizyjskie *arpeggio* drugiego aktu, kiedy sarabanda żywych kwiatów jęła narzucać na głowę kuszonego bohatera zmysłową „zasłonę Maji", wystąpiła wtedy na scenę Kundry—ta Kundry, „dusza potępiona" okultysty-Klingsora, ta Kundry, wykonawczyni poniewolna „czarnych" jego robót i czarno-magicznych uroków.

Mnie zaś, przy tragicznych akcentach djalogu „djablicy" z młodzieniaszkiem, przypomniał się ogród inny, ten z drugiego aktu „Tristana", gdzie też—w poświacie księżyca i szumach powiewów wiosennych — gwarzą bohaterowie w djalogu pełnym już przeczuć śmiertelnych, w który wplata się ta strofa oblubieńca:

Skoro umrzemy,
— nierozłączeni
i trwale jedni,
a nieskończeni,
wolni przebudzeń
i tęsknot wszelkich,
złączeni splotem
miłowań wielkich,
żyć rozpoczniemy na wieki!

II

Ta droga z Jerozolimy do Emaus, którą w poranek wielko-poniedziałkowy kroczyli do grobu Chrystusowego dwaj Jego uczniowie, musiała lśnić się odblaskiem i tchnąć czarami wiosny „wielko-piątkowej" z „Parsifala" i dzwonić im musiały w sercach, strwożonych jeszcze, ale wnet już radosnych, akordy „wesołego dnia", jaki tymczasem w święcie był nastał. I wraz z przedziwnemi niewiastami, co rozmawiały były tymczasem z aniołem, usłyszeli społem wesołą nowinę, że „potrzeba było, aby to cierpiał Chrystus i tak wszedł do chwały Swojej".

Pierwsi chrześcijanie przejęci byli nawskroś wiarą w zmartwychwstanie. „Żyj wiecznie w Bogu, słodka duszo!"—czytamy w katakumbach.—„Wieczna Tobie światłość w Chrystusie, Tymoteo!" „Jest tedy rzeczą jasną, jak biały dzień" — komentuje tego rodzaju napisy O. Marjan Morawski [1]), — „że starzy chrześcijanie już w bohaterskiej epoce wierzyli w niebo, niebo nagradzające doskonałą ochłodą i błogim spoczynkiem znoje tego życia..."

A wiara ta promieniała także z pism Ojców Kościoła:

„Cóż to wyrzucasz Bogu?"—pisze św. Bazyli do pewnej wdowy po utracie przez nią męża. —„Mogłaś przecie wcale nie znać tego, którego ci dano. Bóg pozwolił ci się z nim cieszyć, zjednoczywszy na zawsze dusze wasze, otworzył ci skarby subtelności, mądrości, dobroci, serdeczności, aby uzupełnić wykształcenie twojej duszy, a potem powołał do nieba tego, którego ci na pewien czas użyczył. Czego chcesz od Boga? Że dał ci go poznać i zakosztować z nim szczęścia. Masz żal do Boga, że powołał go do nieba? Więc go widocznie nie kochałaś, ponieważ jego zapewnione szczęście tobie nie wystarcza. Pomyśl tylko: miałaś go na ziemi, była to nadzwyczajna łaska Boża. A teraz on jest szczęśliwy szczęściem niezrównanem, jeżeli patrzysz na nie okiem prawdziwej miłości. W waszym wspólnym bycie bolesna jest tylko chwilowa rozłąka, możesz jednak doskonale ofiarę tę złożyć za szczęście wieczystego zjednoczenia, które nastąpi napewno, jak i za szczęście ukochanego..."

Średniowiecze—ze swojemi „tańcami śmierci"—brało jednak śmierć jak życie, prościej, niżeli my—„prosto z mostu". Sam widziałem kilka lat temu w jednym z tumów niemieckich, w Marburgu nad Lahną, uwielbionym przez Montalemberta, sarkofag landgrafa heskiego, którego tumba wykazuje dwie kondygnacje: górną, gdzie nieboszczyk występuje w aparacie rycerskim, i dolną—w postaci szkieleta.

---

[1]) „Świętych obcowanie" (wydanie drugie). Kraków, 1923 r.

Romantycy, ludzie „słabszej wiary", zabarwili wizje zaziemskie średniowiecza stylizowanym jakby makabryzmem. Któż z nas nie pamięta Bürgerowskiej „Lenory", ballady, w której

panna grzeszy, jeździec śpieszy,
klęto ducha, klątwy słucha,
już odemknął zimny gmach:
panno, panno, czy nie strach?

Irracjonalizm nowoczesny nawrócił do trzeźwiejszego ujmowania danych zagadnień. Ma rację wyznawca-apologeta, ksiądz Bougaud, kiedy głosi, że „umarli są niewidzialni, ale nie nieobecni"; ma rację i psycholog - okultysta, Maeterlinck, gdy w ostatniej swojej książce[2]) mówi, że „pierwszy raz, kiedy śmierć zaglądnie do jakiego domu, roztwiera przed jego mieszkańcami nieznane im dotychczas, bo omijane przez nich światy".

III

Tak! — jak bowiem śpiewał już twórca „Pieśni nad pieśniami" — „mocna jest jako śmierć miłość". I stąd natchnione duchem Bożym i jak zawsze płomienne apostrofy Pawła świętego w liście do Koryntjan: „Gdzie jest zwycięstwo Twe, śmierci? Gdzież jest śmierci, oścień Twój?"

Ta wszechmiłość Dantejska, ta miłość, co „cierpliwa jest, łaskawa jest", co „nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego, nie raduje się z niesprawiedliwości, ale weseli się z prawdy, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko przetrwa", ta miłość, co „nigdy nie ginie", jak tamten afekt drogocenny kochanków średniowiecznych z Kornwalji — ta miłość Wyspiańskiego, co bucha „jak ognia słup" i co „niesie pełny snop" serdecznych trudów i zasług— ta miłośc, Boska i ludzka, to—*antidotum* jedyne na śmiercionośne, lecz nowożyciodajne, „żądło Hekaty".

Więc kiedy przesila się na wiosnę dzień z nocą, kiedy rodzi się na nowo siew obumarły, świeże niosąc życie, wznosi się z piersi ludzi dobrej woli, ku niebu, hymn Zmartwychwstania, pełen wiary, miłości i nadziei:

Wesoły nam dziś dzień nastał
Którego z nas każdy żądał.
Tego dnia Chrystus zmartwychwstał,
Alleluja, Alleluja!
Król niebieski k'nam zawitał,
jako piękny kwiat zakwitał,
po śmierci się nam pokazał,
Alleluja, Alleluja!
Piekielne moce zwojował,
nieprzyjaciele podeptał,
nad nędznymi się zlitował,
Alleluja, Alleluja!

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

²) *„Le sablier"* (1936).

IDEAŁ HISTORYCZNY NOWEJ CYWILIZACJI

III

ZGADZAM się także z Maritain'em co do dwu kwestyj jeszcze.

Mówi on, że nowy ideał historyczny zawiera w sobie ideję wolności człowieka — oczywiście nie w sensie liberalnym zwykłej wolności wyboru, lecz autonomicznej wolności ludzkiej w sensie doskonałości duchowej. W artykule mym p. t. „*Habitus* narodowy", omawiając humanistyczność nacjonalizmu, powiedziałem szerzej o tem, że dążenie ku coraz doskonalszemu *habitus* narodowemu jest dążeniem do wolności w sensie pełni człowieczeństwa. Twierdząc tedy, że nowy ideał historyczny opiera się na odkryciu narodu jako osoby psychicznej, do której człowiek należy na mocy nietylko węzłów biologicznych, ale przedewszystkiem węzłów organizacji psychicznej, wyrażającej się w *habitus* narodowym — jestem, jak sądzę, bardziej konsekwentny niż Maritain, gdy mówi także, że ten ideał historyczny zawiera w sobie ideję wolności człowieka. O tem jak dalece Maritain nie czuje aktualnego klimatu historycznego, świadczy m. in. i to, że mówiąc o owej wolności powiada: „nie chodzi też o wolność według pojęcia imperjalistycznego czy dyktatorskiego, t. zn. o wielką i potężną wolność państwa". Z tem zdaniem oczywiście zgodzić się nie mogę. Skoro państwo jest funkcją narodu, a naród właśnie, poprzez *habitus*, zapewnia jednostce wolność, tedy wolność narodu i wolność jednostki mają się do siebie w stosunku wprost proporcjonalnym. O sprawie budowania przez naród swej wielkości wspomniałem zresztą już wyżej.

Zgadzam się także z Maritain'em jeszcze i co do tego, że zasadą dynamiczną nowej cywilizacji ma być „ewangeliczna idea godności osoby ludzkiej i idea jej duchowego powołania i miłości braterskiej". Znowu jednak realizację tych zasad widzę w narodzie. Co do spraw godności ludzkiej i duchowego powołania, sądzę, że dla czytelnika, który będzie mnie czytał z życzliwą chęcią zrozumienia, nie potrzebuję nic więcej powiedzieć, nad to co powiedziałem już przedtem w tym i poprzednich moich artykułach. Pozostaje jednak kwestja miłości.

Otóż sądzę, że naród zawiera w sobie najwyższe możliwości realizacji porządku miłości (*ordo caritatis*) w porządku doczesnym. Stapia bowiem w jeden ład organiczny miłość człowieka, miłość społeczności i miłość przyrody, która jest podłożem życia człowieka i narodu. Poprzez miłość narodu własnego realizuje także naród miłość do innych narodów, miłość społeczną w porządku ponadjednostkowym. Wreszcie — miłość Boga, jako przyczyny i celu.

Jest dla mnie rzeczą zupełnie zrozumiałą to, że miłość narodu, nakazująca człowiekowi walkę orężną w obronie narodu, nie przeczy miłości bliźniego, mimo że w tej walce padają ofiary życia. Dobro narodu jest dobrem wyższem niż dobro jednostkowe, zapewnia bowiem powszechne dobro materjalne i moralne, stojące na usługach jednostek w ich dążeniu do ich celów wiecznych. Jednem z tych dóbr, których naród dostarcza jednostce, jest dobro ofiary — jest to dobro natury moralnej. Na walczących patrzeć trzeba nie jako na tych, którzy popełniają wzajemny mord,

ale jako na tych którzy realizują wielkię dobro ofiary, dobro ich osobiste, skierowane ku ich celom wiecznym. Krzywda jest tu natury cielesnej, doczesnej, zysk natury duchowej, wiecznej.

Miłość jednostki, która nie przeczy wojnie, to miłość duchowa nie cielesna. Miłość, która się opiera na wierze w to, że nie cielesne trudy i cierpienia, ale zagadnienia ducha są kwestją bytu człowieka. Maritain, powinien zgodzić się na to, skoro mówi m. in., że „państwo średniowieczne, które było zdolne skazywać na karę śmierci za zbrodnię herezji, okazywało więcej troski dla dusz i miało wyższe pojęcie o godności społeczeństwa ludzkiego — pojęcie to bowiem było w ten sposób oparte na prawdzie — niż państwo, które potrafi karać jedynie za zbrodnie popełnione przeciwko ciału". (str. 25) Miłość, o której mówię, to także miłość oparta na prawdzie, także wypływa ona z troski o dobro dusz i ma wyższe pojęcie o godności społeczeństwa.

Zgadzam się tedy z przytoczonem wyżej zdaniem Maritaina, że nowy ideał historyczny ma zawierać w sobie „ewangieliczną ideję godności osoby ludzkiej i ideję jej duchowego powołania i miłości braterskiej". Muszę jednak stanowczo zaprzeczyć temu, co mówi on w pierwszej części tego zdania, że mianowicie nowy mit historyczny nie ma być mitem narodu. Maritain wymienia tu na jednej linji „mit Klasy, Rasy, Narodu i Państwa". Widać stąd wyraźnie, że nie rozumie on zupełnie czem jest naród. To niezrozumienie pozwala mu na to, by umieścić w jednym szeregu „Klasę, Rasę i Naród", gdy zaś do tego dodaje jeszcze państwo, mające przecież byt jedynie funkcjonalny, zatem zgoła innego porządku niż naród, to zdradza zupełny zamęt pojęć. A właśnie uporządkowanie tych pojęć jest dorobkiem czasów nowych i dlatego twierdzę, że Maritain nie widzi współczesności. Wypada dodać tu jeszcze bliższe omówienie.

*

Twierdzę, że Maritain ma światopogląd materjalistyczny. Zdradza to przedewszystkiem przez to, że swą wizję powszechnej jedności opiera kompromisowo na pluralizmie doczesnych zadań społeczeństwa i wiecznych zadań jednostki.

Materjalizm nie wtedy się kończy, gdy się powiada, że jest nietylko materja ale i duch. Kończy się on wtedy, gdy się jeszcze doda, że rozdział jest tu pozorny, sfery materji i ducha łączy bowiem paradoks rządu ducha, że duch jest czynnikiem sprawczym i rządzącym.

Jest to koncepcja paradoksalna, która występowała w światopoglądzie średniowiecza i powraca dziś wraz z powracającym światopoglądem paradoksu. Miałem już okazję wyrazić moje przekonanie, że duch czasów nowych to duch paradoksu, że przytem paradoks jest jądrem katolicyzmu. Maritain zaś w swym światopoglądzie nie ma nic z ducha paradoksu — w tem jest jego niewspółczesność i jego materjalizm. Nie umie on połączyć spraw doczesnych i spraw wiecznych w jedność, i w społeczeństwie widzi tylko jedną z tych sfer — mianowicie doczesną.

Ma on bowiem materjalistyczne pojęcie społeczeństwa — jako prostego zbioru ludzi, jako kombinacji ich doczesnych interesów. W jednym z poprzednich moich artykułów, zwalczając ewolucyjny punkt widzenia w kwestji powstania narodu, powiedziałem, że wszelka organiczna więź społeczna dąży do najwyższej formy społecznej, jaką jest naród, że zatem w pewnym sensie zawiera w sobie zaczyn pełnej formy — narodu. Naród zaś nie jest kombinacją ludzkich interesów, ale osobą cielesno-duchową, której byt, podobnie jak byt człowieka, nie wyczerpuje się w porządku doczesnym, ale sięga porządku wiecznego. Działanie narodu zmierza celowo ku jego idei bytującej w świecie ponad-doczesnym i leży ono na linji wiecznych spraw człowieka. Człowiek istnieje w narodzie i przez naród, poza narodem byłby człowiekiem niepełnym, a udział jego w narodzie opiera się na rządzącym czynniku duchowym, więź łącząca jednostkę z narodem to przedewszystkiem więź natury duchowej. Człowiek w dążeniu do swych celów wiecznych natrafia na sprawy narodu i odwrotnie — dążąc do celów narodowych natrafia na swe cele wieczne. Nie przeczy temu wojna (która ciągle jeszcze jest pozorną kością niezgody między nacjonalizmem a katolicyzmem), bo nie pacyfizm, pokój cielesny, w którym chodzi o usunięcie doczesnych cierpień, jest ideałem człowieka i narodu, ale pokój ducha, który osiąga się w walce i w wysiłku wewnętrznym. Ten zaś pokój ducha to właśnie wolność, o którą tak chodzi Maritain'owi.

Odkrycie ducha w zbiorowości, odkrycie narodu jako osoby duchowej, skierowanej ku sprawom wiecznym, doświadczenie nacjonalizmu — co jest doświadczeniem czasów nowych, to nie doświadczenie doktryny, ale doświadczenie prawa naturalnego o narodzie. Nacjonalizm opiera się o przyrodę i nie tworzy doktryny, ale odkrywa prawa przyrodzone. Skoro zaś wierzy się w to, że świat jest dziełem Boga, to trzeba uznać, że to prawo przyrodzone jest prawem Bożem. Tę wiarę ma właśnie nacjonalizm polski. W wielkich ruchach narodowych rządzi duch prawa Bożego o narodzie. Dlatego skoro prawo Boże jest jedno, możnaby powiedzieć, że wszelki nacjonalizm zawiera przynajmniej zaczyn katolicyzmu i tyle tylko możnaby dodać, że pełnia prawdziwego, spirytualistycznego nacjonalizmu możliwa jest tylko w narodach katolickich.

Narodowy ideał historyczny jest analogiczny do ideału historycznego średniowiecza, ten bowiem opierał się o tę prawdę, którą chrześcijaństwo powiedziało człowiekowi: że jest on nietylko z materji ale i z ducha i że cel jego jest nie na tym świecie, ideał zaś historyczny czasów nowych opiera się na tej samej prawdzie rozszerzonej do porządku społecznego, na tem, że powiada narodom — jesteście nietylko z materji, ale i ducha i cele wasze sięgają ku sprawom wiecznym. Jeśli można powiedzieć, że doświadczeniem średniowiecza było pokonanie materjalizmu w porządku jednostki, to doświadczeniem czasów nowych jest pokonanie materjalizmu w porządku społecznym.

*

Podczas gdy narodowy ideał historyczny opiera swą jedność i uniwersalizm na prawie przyrodzonem o narodzie, wizja Maritain'a jed-

ność tę i ten uniwersalizm próbuje osiągnąć prawem ludzkiem, opierającem się o tolerancję, zażegnującą konflikty wyznań w społeczeństwie. O tem, jak Maritain wyobraża sobie świat uformowany w myśl nowego ideału historycznego, świadczy dobitnie to, że jako dobry przykład takiego prawa podaje nową konstytucję Państwa Polskiego. Budzi to wątpliwości zarówno co do nowości tego ideału historycznego jak i co do jego doskonałości.

Prawo tolerancji opiera się na kompromisie i dlatego nie ma nic wspólnego, ani analogicznego z duchem średniowiecza. Kompromis to postawa tchrzórzliwa. Maritain pisze w zakończeniu, że przeszkodą do realizacji nowego chrześcijańskiego ideału historycznego są „zaślepienia rasowe". Znając jego materjalistyczne pojęcie społeczeństwa, przypuszczać można, że pod te „zaślepienia rasowe" podciąga on konflikty między narodami. Naród, bowiem wyczerpuje się dla niego, jak się zdaje, w kwestjach rasy. To, że nowy ideał historyczny ma być społeczny, rozumiem szeroko — nietylko w tym sensie, że ma on być realizowany w obrębie jednego narodu, ale i w społeczności narodów. Z takiego punktu widzenia obawa Maritain'a wydaje mi się zupełnie niezrozumiała. Przedewszystkiem inaczej niż on patrzę na konflikty między narodami, widzę w nich coś więcej niż „zaślepienie rasowe", ale nawet uznając błędy narodów w ich działaniach, nie widzę w tem przeszkody dla realizacji chrześcijańskiego ideału historycznego. Byłoby to samo, jakby jakiś człowiek średniowieczny powiedział, że ideał historyczny średniowiecza jest nieosiągalny, bo istnieją zaślepienia i błędy natury ludzkiej, które trzebaby usunąć, aby ten ideał zrealizować. Brzmi to nonsensownie i przeczy średniowiecznej idei Kościoła walczącego. Postawa Maritain'a przypomina tu strusia chowającego głowę w piasek, a w mojem przekonaniu nic nie jest bardziej sprzeczne z postawą życiową dobrego katolika, za jakiego się Maritain podaje, niż taka właśnie postawa. Zdaje się, że Maritain zapomniał tu o tem, co pisał przedtem, iż ideał miłości opierać się musi na „pesymistycznem i wymagającem pojęciu natury ludzkiej, pojęciu, które przedstawia nam jako najtrudniejsze to co jest najważniejsze" (str. 57). Zdaje się jednak, że Maritain pisząc o owych zaślepieniach miał na myśli nietylko konflikty narodów, ale także, a może nawet przedewszystkiem — antysemityzm. O tej zaś sprawie wypowiedziałem się już wyżej. Zresztą, sam Maritain jest podobno żydem. Gdyby tak było, istotnie zrozumiałe byłoby jego stanowisko wobec tych „zaślepień". Co więcej — nieprawdziwość jego wizji byłaby dowodem rozkładowego działania żydów, ludzi o niezorganizowanej psychice.

*

Reasumując wszystko to, co powiedziałem dotąd, muszę stwierdzić, że jakkolwiek pogląd Maritain'a wydaje mi się słuszny w pewnych szczegółach, to jednak zasadniczo jest błędny, niezgodny z przytoczonemi przez niego samego zasadami chrześcijańskiego ideału historycznego, stanowi pomieszanie tych zasad, układa się nie w jasny, konsekwentny i prostolinijny światopogląd, ale w obraz pogmatwany, zwichnięty w swej osi i zaciemniający istotę zagadnienia. Jest przytem zupełnie niezgodny z duchem czasów nowych i dlatego także raz jeszcze nieprawdziwy. Nazwałbym go nawet herezją, gdyby do mnie należało decydować o tem — jest to bowiem pogląd z ducha mateterjalizmu.

Ideał historyczny Maritain'a nie jest jednoznaczny, ale też w żadnym razie nie jest analogiczny do historycznego ideału średniowiecza. Tamten ideał bowiem był chrześcijański, nie materjalistyczny, a chrześcijański ideał historyczny musi uznawać jednokierunkowość wszelkich dążeń ludzkich, nie znosi dwutorowości spraw doczesnych i spraw wiecznych, musi być w istocie uniwersalistyczny choć powierzchnia ukształtowanego przezeń życia jest pluralistyczna, a powszechność jego i jedność opierać się musi nie na ludzkiem prawie, usuwającem doczesne skłócenia, ale na prawie Bożem, zapewniającem pokój porządku duchowego.

Duch średniowiecza był duchem paradoksu— taki sam jest duch czasów nowych. Polega to na tem, że naczelnem założeniem epoki jest to, iż jedynie istotne i ważne są dla człowieka, złożonego z ducha i z materji — sprawy ponadmaterjalne, duchowe, ponad-doczesne, ale że one właśnie rządzą doczesnością, człowiek zatem właśnie w życiu doczesnem, właśnie w prawdziwej pełni życia doczesnego może osiągnąć swe cele wieczne. Punktem wyjścia jest istota ludzka o pierwiastku ponaddoczesnym, droga zaś tej istoty wiedzie poprzez sprawy doczesne, życie rozrasta się w nich poto, aby w kulminacyjnym punkcie tego procesu, kiedy pełnia tych spraw zostaje ogarnięta przez człowieka — błyskawicznym, paradoksalnym przerzutem powrócić do puktu wyjścia — okazuje się wtedy, że kierunek był jeden, że pozornie idąc ku doczesności szliśmy ku sprawom wiecznym i oto w owym punkcie kulminacyjnym spostrzegamy niespodzianie, że stoimy w samem sercu spraw wiecznych. Tylko taki ideał historyczny, który wytycza taką właśnie drogę zapewnia istotny uniwersalizm, jedność spraw wiecznych i doczesnych. Tę właśnie drogę otwiera przed człowiekiem życie w narodzie, a jak się to dzieje, to starałem się wyłożyć wyraźniej w artykule p. t. „*Habitus* narodowy" w tem miejscu, w którem mówię o zdobywaniu przez jednostkę wolności przez pokonywanie kręgów narodowych — kiedy to właśnie punkt dojścia okazuje się punktem wyjścia. W artykule niniejszym nie starałem się rysować szczegółów realizacji nowego ideału historycznego. Chodziło mi o zarysowanie „klimatu historycznego", który, mojem zdaniem, wyznacza określoną podstawę dla realizacji nowego porządku, podstawę szeroką, która może stanowić starczający na długo zaczyn twórczości w tej dziedzinie. Strona religijna zagadnienia, daje tu duże pole do twórczości dla Kościoła To jednak wymaga zrozumienia tego, że nietylko naród winien iść zgodnie ze swą religją, ale i Kościół z narodem, nie zaś naprzekór historji, ścieżkami licho fastrygowanych kompromisów.

HENRYK EYSYMONTT

ŻYWOT DYKTATORA

ARMJA wkracza do Londynu. „W zwartych, ściśniętych kolumnach, masy jej posuwają się ku sercu stolicy; twarze posępne i groźne, żadnego kapelusza, żadnego hełmu nie zdobią zielone gałązki, jak za owem pierwotnem wkroczeniem; twardy rytm kroków maszerujących brzmi głucho na ulicach niby łoskot tysięcy stłumionych bębnów".

„Przyszło wojsko, by otrzymać sprawiedliwość, skoro banda samolubnych mędrków własną korzyść stawia ponad dobro publiczne; i zdecydowane jest pozostać, aż sprawiedliwości tej stanie się zadość" [1]).

Za wojskiem grupa wysokich oficerów, otaczająca generała Cromwella, Jadą w milczeniu. „Twardszy jeszcze niż u innych jest blask jego oczu, jeszcze surowsza linja zaciśniętych ust". Wiele się zmieniło od dnia, kiedy na czele armji wjeżdżał do stolicy jako triumfator nad potęgą tyranji, witany radośnie przez ludność. Niewdzięcznością mu odpłacono. Przybywa teraz, by wymierzyć sobie sprawiedliwość. Dziwne są koleje fortuny: on, który stał kiedyś w pierwszym szeregu obrońców parlamentu, jako wyraziciela woli ludu, przybywa teraz, aby ten parlament zmiażdżyć ciężarem oddanej sobie armji. Przed nim otworem stoi droga do sławy, do zaszczytów, do wpływów—do władzy. „Najdalej dochodzi ten, kto nie wie dokąd zmierza". Fakty wysnuwają się jedne z drugich, narastają, pchają w górę, ciągle w górę. Tyle ofiar już padło, czyżby miały pójść na marne? Nie, trzeba doprowadzić rzecz do końca — gdyby tylko wiedzieć gdzie ten koniec!... Król już wypędzony, król musi zginąć, wtedy dopiero narzędzie Najwyższego, Oliver Cromwell będzie miał bezpieczeństwo i swobodę działania. Parlament wczoraj „oczyścił" wierny pułkownik Pride. Co dalej?

Zamyślony, nieruchomo zapatrzony przed siebie, jedzie generał Cromwell dalej, coraz dalej. „Za nim, niby gromowa chmura, po same brzegi wypełniona piorunami i błyskawicami, gniewna armja toczy się ku miastu".

*

Cromwell ziemianin, Cromwell wierny członek partji, spisku zwalczającego tyranję, Cromwell generał na czele wojsk zbrojnie walczących z tyranją, Cromwell pogromca parlamentu i wreszcie Cromwell dyktator Anglji, zacząwszy od walki o wolność doszedł znów do tyranji, uwielbiany przez armję, na którą magiczny wpływ wywierał. „Przypadek, los, sposobność nieuchronna posuwają go naprzód" — pisze o nim znakomity historyk angielski Hilary Belloc [2]). Ostateczne zwycięstwo zostawia go w posiadaniu najwyższej władzy. Jest zmuszony ją sprawować, nie niechętnie, lecz cokolwiek oszołomiony posiadanemi możliwościami. Kieruje polityką wewnętrzną i zewnętrzną: pierwszą poprostu i despotycznie, mając na celu porządek w kraju i bezpieczeństwo własne; w sprawach zagranicznych cechuje go gest i emfaza, przy chwiejności ogólnego kierunku.

Nienawiść do stuartowskiej tyranji i do katolików, oraz ambicja osobista, nie zakreślająca sobie zresztą dyktatury jako ostatecznego celu do osiągnięcia—oto były główne sprężyny jego karjery. Nienawiść purytanina do katolików prowadzi go do zatraty umiaru w polityce wewnętrznej. Stawia sobie za cel absolutne zniszczenie tej patrjotycznej i pożytecznej części narodu i na drodze tej nie cofa się przed niczem. Pacyfikuje Irlandję ogniem i mieczem tylko z tego powodu. Wewnątrz kraju niszczy finansowo nienawistnych mu wyznawców rzymskiej wiary, nakłada na nich podatki, konfiskuje majątki, odbiera wszelki głos w sprawach publicznych. W stosunku do wszystkich innych odznacza się tolerancją, żydom, wypędzonym przez Edwarda I-go, pozwala wrócić do Anglji i osiedlić się w Londynie i Oxfordzie. Także i w polityce zagranicznej kieruje się przedewszystkiem nienawiścią do Stuartów, popierając Francję wzamian za obietnicę eksterminacji Karola II, którego postać była dlań przez cały okres jego dyktatury jak miecz Damoklesa. Skutkiem tego był dalszy wzrost potęgi Francji, która stała się znowu stałym i niebezpiecznym rywalem i wiele krwi kosztowała Anglję w czasach napoleońskich.

Do osiągnięcia pragnień i celów pomagały mu nieprzeciętne zdolności, które według Belloca polegały przedewszystkiem na „hypokryzji, sprycie, czy talencie dyplomatycznym, zależnie od tego jak chcemy to nazwać, pochlebnie czy niepochlebnie" i na nieprzeciętnym talencie wojskowym, raczej taktycznym, niż strategicznym, który polegał na mocnem poczuciu rzeczywistości, na zdolności improwizowania i na umiejętności podporządkowania sobie ludzi.

Upór przeszkadzał mu do osiągnięcia wielkich rzeczy zapomocą armji, którą rozporządzał. Będąc dowódcą kawalerji, nie uznawał innych broni i wszystkie kampanje obmyślał z punktu widzenia kawalerzysty, choć mógł łatwo rozbić wojska królewskie o wiele wcześniej z pomocą artylerji. Przeszkadzał tu też brak zdolności strategicznych — ułożenia planu kampanji. Nie znając dobrze warunków i sytuacji rzucał się naoślep w niebezpieczne imprezy wojenne i dzięki doskonałej taktyce potrafił zawsze wybrnąć z nich zwycięsko.

Doszedłszy do władzy przy pomocy wojska, potrafił się przy niej utrzymać, otaczając armję opieką. Najbardziej godne podziwu było to, że nie mając żadnego wojskowego wykształcenia i rozpoczynając swą karjerę na tem polu dopiero po czterdziestce, tak bardzo zdołał rozwinąć swe talenty, że w krótkim czasie objął faktyczne a później i formalne naczelne dowództwo i ze spiskowca i polityka przedzierzgnął się w lorda-generała. W miarę postępu czasu coraz bardziej zżywał się z rzemiosłem, z którem tak późno stosunkowo się zapoznał.

Umarł nie jako król, czy prawodawca, ani jako bogaty ziemianin jak się urodził, ale jako żołnierz; jako kawalerzysta, który nieco nieswo-

---

[1]) Mirko Jelusich: *Oliver Cromwell.* Przekład Marji Kreczowskiej. Warszawa, 1936. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 414.

[2]) Hilaire Belloc: „*Oliver Cromwell*". London, 1927. Benn. str. 4.

jo się czuł bez zbroi i bez konia na dyktatorskim tronie Anglji.

Charakter jego tak określa Belloc [3]): „Nie była to zbyt złożona natura. Sprzeczności w niej rzucają się w oczy tylko wtedy, gdy wyobrażamy go sobie jako kogo innego niż był w istocie. Gdybyśmy chcieli za wszelką cenę zrobić z niego bohatera narodowego, musielibyśmy ignorować, czy fałszować, czy też uciekać się do karkołomnych ewolucyj mózgowych celem wytłumaczenia jego znanych czynów, przemówień i sposobów postępowania, które go charakteryzują: nie nadaje się on bowiem zupełnie do tej roli. Chcąc dowieść, że był jakimś arcyłotrem w szatańskiej postaci, ośmieszylibyśmy się: nie dorósł on wcale do tej skali. Czemże więc był? Był to dość szorstki człowiek, szczerze przejęty emocjonalnemi dyspozycjami swego środowiska i klasy, z której pochodził, lubujący się, jak każdy człowiek, w praktykowaniu tego do czego miał najwięcej uzdolnienia i pociągu — tutaj więc żołnierskiego rzemiosła; przedewszystkiem zaś organizacji kawalerji i głównego dowództwa. Zdolności te odkrył i rozwinął tak późno, że zajęły go całkowicie i przesłoniły mu wszystko inne. Zresztą był to człowiek o bezpośrednim i gwałtownym sposobie wypowiadania się, jaki przyzwyczajenie do komenderowania wytwarza w takich naturach, a przedewszystkiem był tym, który znajdując się w coraz to nowej, nieoczekiwanej krytycznej sytuacji, ratuje się i przez to ciągle powiększa swą władzę, niezupełnie umyślnie, a napewno nie według jakiegoś nakreślonego planu. Za każdym razem ratował się tem, co nazwałem zależnie od tego jak to kto chce określać: sprytem, hypokryzją, czy talentem dyplomatycznym". Potrafił zawsze się tak urządzić, żeby nie brać odpowiedzialności za najważniejsze posunięcia w tym momencie, gdy ich wynik był jeszcze niepewny. „Oczyszczenie parlamentu" przez Pride'a, uwięzienie króla, usunięcie innych dowódców z pozostawieniem jego samego w sztabie—wszystko to działo się za jego sprawą, ale bez jego udziału. Był zawsze tam, gdzie było zwycięstwo, choć nie zawsze zwyciężał. W takim wypadku jednak inni przegrywali za niego.

Najgorszą jego wadą było okrucieństwo. Używając bezwględnych metod w walce z przeciwnikami, posuwał się dalej niż wymagała tego potrzeba, posługiwał się okrucieństwem, aby dać zastraszający przykład innym, którzyby się ośmielili z nim walczyć, ale także dla własnej satysfakcji.

Jak na purytanina odznaczał się wcale dużą skłonnością do bufonady, co mu dodaje człowieczeństwa i zyskiwało mu sympatję. Lubił grube żarty i używał mocnych wyrażeń. Musiał też mniej cierpieć z powodu pychy od innych, którzy się znajdowali w jego sytuacji. Miał momenty gdy był dobym kompanem, lubił wypić, bawić się i żartować w towarzystwie dawnych towarzyszy broni; nawet pompa, jaka cechowała jego publiczne wystąpienia, miało źródło raczej w taktyce politycznej niż w wewnętrznej potrzebie. Do słabostek, jakie zwykle mają ludzie nawet najbardziej utalentowani — z powodu bardzo rozwiniętej wyobraźni należała przesądność, doprowadzana czasem do absurdu. Bał się panicznie i bezustannie zamachów na swoje życie.

[3]) *Op. cit.*, str. 39.

Jelusich pisze jak co noc przygotowywano dlań dwanaście sypialń, aby do ostatniej chwili nie było wiadomo gdzie noc spędza[4]). Stąd też źródło niezwykle rozbudowanej sieci szpiegowskiej w całej Anglji, a tażę zagranicą. Bano się mówić głośno, aby nie być dosłyszanym przez ludzi potężnego ministra Thurloc'a i nie być oskarżonym o zdradę[5]). Thurloc wiedział wszystko o wszystkich, kartoteki jakie prowadził zawierały nazwiska wszystkich znaczniejszych ludzi w Anglji.

Cromwell, wódz nieustraszony, ów żelazny człowiek, który jak nikt inny ośmielił się przemawiać do parlamentu, w polityce wewnętrznej kierował się obawą więcej niż czem innem. W obawie przed przyjmowaniem na siebie pełnej odpowiedzialności utrzymywał stale parlament, choć go rozwiązywał ciągle, a wreszcie wprowadził doń samych swoich. We wszystkich swych poczynaniach zachowywał choćby pozory działania prawnego. Nigdy nie chciał się zgodzić na wprowadzenie stanu jawnej dyktatnry. Utrzymywał żelazny porządek w kraju nie dopuszczając do żadnej swobodnej inicjatywy, stawiając generałów na czele hrabstw, rozwijając sieć szpiegowską, rujnując finansowo wszystkich przeciwników — wszystko dla zapewnienia bezpieczeństwa swemu stanowisku.

„Życie jego było jak ślepa uliczka — był podobny człowiekowi, który wdrapuje się na urwisko, aby uniknąć niebezpieczeństwa, czyhającego nań w dole i musi nieustannie iść w górę, bo nie może zejść na dół. Doszedł, sam nie wiedząc jak, do pełnej władzy wykonawczej, która — czułto sam — przewyższała jego możliwości, nie znosił jej, był jej niewolnikiem. Utrzymywanie się przy niej sprawiało mu trud wielki; porzucenie jej byłoby ruiną nietylko dla niego, ale dla wszystkich. Umarł nie wydostawszy się z tego oplotu"[6]).

Był niewątpliwie patrjotą i zadowalał uczucia patrjotyczne własne i tych ze swych poddanych, którzy nie nienawidzili go tak silnie, by myśleć, że owo zadowolenie nie dorównuje cenie tych rządów; jeśli jednak chodzi o d o k o n a n i e czegoś, nie dokonał niczego. Błąkał się cały czas. Polityka zagraniczna wymagała wówczas doskonałej znajomości Europy, dużego doświadczenia, a przedewszystkiem trzeźwości i kierowania się racjonalnemi przesłankami, na to zaś ów kłębek nerwów, przepojony nienawiścią do Stuartów i katolików, żądzą imponowania i efektów wojskowych i zewnętrznych, zdobyć się nie mógł. Pragnął potęgi swego kraju, jak jej pragnęło dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu jego ziomków, posiadanie przez krótki czas władzy i armji pozwalało o tę potęgę walczyć.

Zwycięstwa jego były jego klęską. Umarł po dziewięciu latach dyktatorskich rządów, 3 września 1658 roku, w samą rocznicę swych najświetniejszych zwycięstw nad wojskami króla pod Worcester i Dunbar, które oddały władzę w jego ręce.

Pozostawił u steru władzy niedołężnego syna i armję pozbawioną wodza. Po kilkunastu

[4]) *Op. cit.* str. 365.
[5]) Jelusich str. 368.
[6]) Belloc. *op. cit.* str. 56.

miesiącach chaosu i dezorganizacji kraju wjeżdżał triumfalnie do Londynu Karol II, wówczas symbol młodości, powrotu do tradycyj narodowych, władzy z woli narodu. Witany był owacyjnie. „Moja to własna wina, że nie przybyłem wcześniej" — rzekł z uśmiechem. — „Wszyscy naokoło mi powtarzają, że zawsze tęsknili za moim powrotem.[7])"

[7]) J. R. Green: *„A short History of the English People"* London 1915 Dent. str. 562. t. II.

Obszerna biografja, pióra autora tak popularnej biografji Juljana Cezara umiejętnie maluje sylwetkę tej tak niezwykle ciekawej postaci dyktatora Anglji. Szereg momentów, jak słynna scena zjawienia się dyktatora w parlamencie, scena rozmowy z królem, scena śmierci, należą do najlepszych we współczesnych *biographies romancées*. Duży tom czyta się z niesłabnącem zainteresowaniem, mimo licznych usterek w przekładzie; poznaliśmy zeń i zrozumieliśmy wiele.

ANDRZEJ ORZECHOWSKI

POSKROMIENIE JOTY ZŁOŚNICY

SPRAWA ustalenia pisowni, w dwu poprzednich zeszytach „Myśli Narodowej" przezemnie omówiona, wywołała, jak słyszę, spore w różnych kołach zaciekawienie, a z kilku stron otrzymałem zachętę do przejścia ze stanowiska krytycznego na prawodawcze i do ogłoszenia własnego projektu zasad, według których jotowanie w pisowni słów omawianych ustalić należy. Chętnie na to zgodę swoją wyraziłem i nie zwłócząc, w niniejszym szkicu zasady owe streszczam.

Żartobliwy tytuł rozprawki tej ma swoje serjo w okolicznościach następujących: W dawnej polszczyźnie joty nie było, a odkąd się zjawiła, stała się ośrodkiem zamieszania, jakkolwiek wniosła podstawową możliwość najlepszego danej sprawy rozstrzygnięcia. Od wieku trwa to zamieszanie, bowiem litery *y* oraz *i* bardzo wolno od uprawnień swoich odstępowały i każdej piędzi posiadłości uparcie broniły. Teraz dopiero, jak się zdaje, dojrzał czas na ostateczne w sporze tym wyroki. A że oskarżenia spadają tu zazwyczaj na jotę, jako najmłodszą i jakoby najzłośliwszą zamętu przyczynę, więc rozwiązanie całego zagadnienia byłoby, niejako, poskromieniem joty — złośnicy.

Na samym atoli wstępie zaznaczyć trzeba, że domniemana wina joty sprowadza się tylko do szczupłego zakresu odpowiednich słów z obcej mowy przyswojonych, pozatem zaś, w słowach rodzimych, narówni z literami *y* oraz *i* oskarżona zachowuje się bez zarzutu. A właśnie zachowanie się tych trzech liter na ogromnych rodzimych obszarach mowy polskiej obrałem sobie za podstawę do ustalenia roli tych liter w odnośnych słowach przyswojonych.

Zagadnienie ogranicza się do słów pochodzenia obcego, a w nich do tego tylko zbiegu dźwięków, gdzie pomiędzy dowolną spółgłoską poprzedzającą a dowolną samogłoską następującą tkwi brzmienie zmiękczające. Ponieważ brzmienie to pisownia polska w słowach przyswojonych oznacza chwiejnie — literami *i*, *y*, oraz *j* (podwójnie lub z osobna wstawianemi), więc zagadnienie da się zobrazować w następującym szeregu zestawień, w których dowolną spółgłoskę oznaczam literą *d* zaś dowolną samogłoskę—przez literę *a*: *dia*, *dja*, *dija*, *dyja*, *dya*.

Pomiędzy temi oto zestawieniami odbywają się boje homeryckie, ale, rzecz szczególna, wyłącznie na terenie słów pochodzenia obcego. Te same zestawienia w słowach rodzimych tak są logicznie i naturalnie rozgraniczone, tak spokojnie zadomowione, że nigdzie wzajem się nie plączą, ani w nikim najmniejszych wątpliwości nie budzą. Stąd też sam przez się taki wniosek się nasuwa, żeby prawa, które tak dobrze w danem miejscu rządzą w słowach rodzimych, narzucić kłótliwej gromadce słów przyswojonych. A to tembardziej, że słuszną jest rzeczą, aby przybysze do miejscowego obyczaju się stosowali...

Zobrazujmy tedy zestawienia, o które nam tu chodzi, w szeregu następujących a żywych słów rodzimych: *o-bia-dy*, *ob-ja-wy*, *wi-je*, *wy-je*, *wy-u-cza*.

W słowach tych, dobrze nam znanych, otrzymujemy zarazem niewątpliwe wzory wymawiania zgłosek odpowiednich, co uwidoczniłem przez ich oddzielenie graficzne. Otóż, jak doświadczalnie wiemy, te same typy wymawiania istnieją w odpowiednich słowach pochodzenia obcego, a wobec tego nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy i pisownię tych słów przyswojonych uzależnili od ich wymowy w sposób analogiczny do pisowni odpowiednich słów rodzimych.

Więc naprzykład: skoro spolszczone *biuro* wymawiamy (w zgłosce *biu*) ściśle na sposób czysto polskiego *o-bia-du* (w zgłosce *bia*), to dlaczego mielibyśmy inną do niego stosować pisownię? Skoro spolszczony *objektyw* (w zgłoskach *ob-jek*) wymawiamy wzorem czysto polskiego *ob-jawu* (w zgłoskach *ob-ja*), to dlaczego nie mielibyśmy go pisać tak samo? Skoro *wijatyk* ma w wymowie odpowiednich zgłosek ścisłą analogję w czysto polskiem słowie *wije*, albo *zawijany*, to na jakiej zasadzie miałby odróżniać się od nich swoją pisownią? Skoro spolszczona *dyjeta* wymawia się w odpowiednich zgłoskach, jak polskie *wyje*, to dlaczego mielibyśmy ją pisać inaczej? Skoro *tryumf* w zestawieniu *yu* wymawiamy, jak *wyucza*, albo jak *wyuzdany*, to poco mamy go zaopatrywać w jotę pomiędzy temi samogłoskami?

Na wszystkie te pytania mam jedną odpowiedź: niema zasady naukowej, któraby z taką pisownią pozostawała w sprzeczności, natomiast upodobnianie pisowni słów przyswojonych do pisowni analogicznych w wymowie słów rodzimych jest czemś w rodzaju powszechnego prawa organicznego, we wszystkich językach czynnego.

Zanim ujmiemy całość sprawy omawiane w pewne uogólnienia, zasadami zwykle zwane,

przedstawmy sobie ją jeszcze, jak to mówią — „po gospodarsku", w sposób praktyczny, lub, jak kto woli, w sposób artystyczny, to znaczy — na plastycznej wyobraźni oparty. Właściwie mówiąc, wszelką syntezę powinna wyprzedzać wyobraźnia. Zgromadźmy zatem trochę słów, o które nam chodzi, a to według podziału na typy, które już poprzednio uszeregowałem i wzorami słów rodzimych zaopatrzyłem:

Pisownia omawianych tu słów przyswojonych ustalona:

1) Według typu *obiady*: *biuro*, *Fiume*, *giełda*, *bukiet*, *Kiachta*, *maniery*, *fortepian*, *wiolonczela*, i t. p.

2) Według typu *objawy*: *objekt*, *Francja*, *racja*, *Irlandja*, *zodjak*, *mafja*, *magja*, *machja*, *Kjoto*, *wilja*, *mumja*, *Danja*, *harpja*, *Etjopja*, *Marja*, *misja*, *sjesta*, *Sjenna*, *Pytja*, *Wezuwjusz*, *awjatyka*, *Azja*, i t. p.

3) Według typu *wije*: *bijologja*, *fijołek*, *hijacynt*, *Lijon*, *mijocen*, *Pijemont*, *wijatyk*, i t. p.

4) Według typu *wyje*: *cyjan*, *dyjecezja*, *dyjeta*, *hyjena*, *Tryjest*, *Pryjam*, *tryjas*, *Syjam*, i t. p.

5) Według typu *wyucza*: *tryumf*, *tryumwirat*, i t. p.

Dla pedantycznej ścisłości można tu jeszcze, lecz na uboczu, dodać typ szósty, dla którego jednak niema wzoru w słowach rodzimych, mianowie, słowa:

6) Według typu *bi-oksyd*, gdzie *bi* wymawia się obobno, zaś *oksyd* osobno. Takich zestawień w języku polskim niema, a słowa, które tym wzorem wymawiamy i piszemy, jako okazy wyjątkowe tułają się tylko w swoistej gwarze naukowej, nie są jeszcze spolszczone i najczęściej powstają ze składu dwu słów, które przypadkiem samogłoskami (*i* oraz inną dowolną) w pozorną całość się zlepiają. Tak więc np. ów typowy *bi-oksyd* po polsku zwie się *dwu-tlenek*, nie dziw tedy, że i w wymowie się rozdziela, a w pisowni także kreską ten podział odznaczać należy.

Tak więc, poza nieliczną i chwilową, bo tylko do czasu spolszczenia żyjącą, garstką słów naukowych o typie *bi-oksyd*, mamy powyżej uporządkowanie słów omawianych w pięć typów o ustalonej wymowie i pisowni czysto polskiej. Do pięciotypowego systemu tego trzeba małą tylko dołączyć uwagę, że dopuszczone są w nim, oczywiście, pewne, bardzo zresztą nieliczne oboczności i t. zw. licencje, czyli dowolności poetyckie. Naprzykład: obok potocznego *Marja* istnieje, jak wiemy, licencja poetycka *Ma-ry-ja*, obok zwykłego *lilja* — jest nieco patetyczna forma — *li-li-ja*, obok potocznego słowa *bestja* istnieje w piosence *besty-ja*, obok pospolitego *miljon* musimy czasem mówić i pisać *mili-jon* (jak oto: „Nazywam się mili-jon, bo za mili-jony kocham i cierpię katusze". Oprócz licencyj istnieją oboczności, np.: *djecezja* i *dyjecezja*, gdzie wolno pisać według własnego wymawiania; albo — *Syjam*, ale „bracia *sjamscy*," co wywołane bywa względami eufonji. Wszystkie te jednak odchylenia ilościowo nie przekraczają bodaj jednej dziesiątej procentu całości słów omawianych, a nadto są tak logiczne i jasne, że najmniejszego wpływu na regułę nie wywierają. Cały zaś system razem z powyższemi paroma uwagami dodatkowemi wyczerpuje wszystkie możliwości ortograficzne odnośnych zestawień dźwiękowych w słowach pochodzenia obcego.

Jakież tedy z ciągu tych rozumowań dadzą się wyprowadzić wnioski ogólne, czyli zasady, według których każdy mógłby sprawę bez wątpliwości w każdym rozstrzygnąć wypadku nieprzewidzianym — — ? Sądzę, że nie wiele, ale jedna taka zasada wystarczy, a sformułować można ją w sposób następujący:

W słowach pochodzenia obcego zbiegi dźwięków typu *dia*, *dja*, *dija*, *dyja*, *dya* należy w wymowie kształtować według właściwości języka polskiego, a w pisowni — zgodnie z ich pisownią, istniejącą w polskich słowach rodzimych.

Rzecz jasna, że stosowanie tej zasady wymaga uprzedniej znajomości odpowiednich właściwości języka polskiego i jego pisowni. Uprzytomniłem je w obu rozprawkach poprzednich („Wojna o jotę" i „Ustalenie pisowni"), do których łaskawego czytelnika skierowuję, teraz bowiem już czas na zamknięcie w sprawie tak drobnej uwag tak rozciągniętych.

Co zaś do rzekomej winowajczyni owego zamętu ortograficznego — joty krnąbrnej, oświadczyć muszę, że jest niewinna. Przeciwnie, ona zjawieniem się swojem umożliwiła rozstrzygnięcie odpowiedniej pisowni, a nawet niektórych trudności morfologji oraz wymowy języka polskiego. Bez joty cała sprawa tu omawiana z miejsca by ruszyć nie mogła.

Przyczyny i winy tak długotrwałego błąkania się ortografów naszych należy szukać w ich postawie względem języka polskiego — odśrodkowej. Zamiast, mianowicie, stanąć na stanowisku właściwości, skłonności i potrzeb języka polskiego i do niego słowa przyswojone nakłaniać, oni kierowali się względami na właściwości tych języków, z których dane słowa do polskiej mowy przychodziły. Oto nagminny rys w charakterze współczesnych Polaków: brak zdrowego egoizmu, godności, siły i woli. Przydało by się im, nawet w ortografji, wiele cech z charakteru szekspirowskiego Petrukja...

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

SPROSTOWANIE. W poprzednim (nr. 15) zeszycie „Myśli Nar." w rozprawce „Ustalanie pisowni" proszę poprawić błędy następujące: Stronica 233: łam pierwszy, w dziewiątym wierszu od dołu pomiędzy literami *dż* a *r* trzeba wstawić opuszczoną tu literę *ł*. Na tej samej stronicy łam drugi, w czternastym wierszu od góry we francuskiem słowie *brioche* trzeba wyrzucić zbyteczny tu znak przecinkowy nad literą *h*. I wreszcie—łam drugi w osiemnastym wierszu od dołu zamiast słowa „jeśli" powinno być „że", aby zdanie czytało się: „to na nich spada odpowiedzialność, że przez ciąg całego roku" i t. d.

ST. P.

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

9. Do Mieczysława Pawlikowskiego.

Paryż, 1857.

Upominasz się, że pisałem *Kwiaty czarne* i *Kwiaty białe*, a róży pączki ominąłem. Oto więc jeden z onych posyłam Ci;—róży pączek jest: dobra nowina.

Wielką radość zesłał mi Opatrzności Pan.

Odebrałem właśnie wiadomość, że jeden z najbliższych krewnych mych, niejaki Michał Kleczkowski, który od lat wielu uczestniczy poselstwu Francji w Chinach, wysłany został na wycieczkę morską od stu pięćdziesięciu lat nie praktykowaną i w czas najburzliwszy, ale z dwoma zbrojnemi okrętami, na poratowanie najmłodszych chrześcijan, za wiarę świętą męczonych, i okutego za szyję żelaznym pierścieniem biskupa tej katakumbowej garstki braci naszych.

Zaiste — szczęśliwy!... nie w tureckiej czapce, ani w kirgiskim kołpaku, ani w nekromantycznym kapturze wróci, — jeżeli wróci...

Ten — doprawdy widzę, iż z Sobieskiej rodzi się.

Oto i róży pączek.

Do widzenia.

Cyprjan Norwid.

Uwaga wydawcy: Autograf zachował się w Ossolineum w zbiorach Bibljoteki im. Pawlikowskich, ogłoszony po raz pierwszy w dod. liter. do *Dzien. Wil.* z dn. 21.III 1926. Z Mieczysławem Pawlikowskim poznał się i zaprzyjaźnił Norwid w Paryżu 1856 r.; por. *Ruch liter.* 1926, s. 139 n. Cykl *Białe kwiaty* ukazał się w dodatku mies. do *Czasu* 1857, zesz. z lutego; list powyższy pisany oczywiście później. O Kleczkowskim zob. wyżej nr. 44, list 7, przyp.

10. Do T. Lenartowicza (?)

[1858 ?]

— — — — — — — — — — — —

Sam jeden jestem.

Wydano moim kosztem — żywej duszy przy mnie!—egzemplarzy tak mało, że jeżeli nie przedrukują, opóźnią prawdę.

Któż to zrobi w społeczeństwie, które na Koperniku w parę wieków poznało się, — kiedy Napoleon Wielki, weszedłszy do Torunia, zapytał z uszanowaniem o dom jego.

Kto zrobi tam, gdzie beczą, kiedy ich zszargają, — a jak oczyszczą, to nikt nie powie: Bóg ci zapłać!

Kto zrobi tam, gdzie—wiedząc to wszystko—nie osłaniają brudnych, ale brudy, — nie osłaniają słabych, ale słabość,—nie osłaniają chorych, ale chorobę.

Ja wiem, na co rachują, — to jest na nikogo.

Bądź zdrów.

Polegaj jak na Zawiszy; ale biada temu, kto opuszcza się na Zawiszów!

C. N.

„Lecz ty, żołnierzu, czy pamiętasz o tem?"

Uwaga wydawcy. List, raczej końcowy fragment listu, w Bibl. Krasińskich, rkp. nr. 5148. List bez daty i adresu; ustalić je można tylko przypuszczalnie. Może do Lenartowicza, do którego kilka innych listów mieści się w tym zbiorze. Publikacją wydaną „moim nakładem" jest najpewniej broszura *O sztuce* (Paryż 1858). W takim razie list byłby z końca 1858 lub może z początku 1859.

REZUREKCJA

Idzie przez Wielki Tydzień; wskazówki wieków potrąca,
zagarnia liść suchy szatą, chrusty szeleszczące zagarnia,
od oceanów, od pustyń milczących,
od Saratowa, Renu, Dniestru i Warmji.
Rwie włos i rozrzuca na pustkowiach,
gałązki oliwek i laurów i witki brzozowe łamie
— i woła nad padołami,
nad okopami, zrównanemi kośćmi i ołowiem
wszystkich narodów:
„O powstańcie, o powstańcie, powstańcie z grobów,
o zmartwychwstańcie, pomordowani!"

Szuka i nadsłuchuje, każdy szelest łowi,
idzie ze wszystkich stron, od wszystkich pobojowisk,
trzyma w rąbku kwiat ziemi, ledwo co wybiegły,
przylaszczki, tak błękitne jak oczy poległych,
Sieje nim, kędy tylko grób czuje pod sobą
i już się cała ziemia błękitni ozdobą...
A ona, na mogiłach, które kwitną pod nią,
klęka w Wielką Sobotę Wielkiego Tygodnia,
i do milczących, skostniałych, upartych
niecierpliwe, żałosne powtarza wołanie:
„O powstańcie, o powstańcie z martwych,
pomordowani!

Krzyż, na którym rozpięto was, spróchniał,
cała ziemia nową wzięła suknię...
Czuwałam ja, czuwałam nad grobem, bezsenna
jak Marja Jakóbowa, Marja Magdalena,
nie czekałam—jak inni—bezpłodnie:
ukazał mi się Pan jako ogrodnik,
rany miał zabliźnione, szaty pełne światła...
...O powstańcie, o powstańcie z martwych!

Gdzie skostnieliście śród rdzawych żelaztw,
o powstańcie w Wielką Niedzielę!...
Gdzie leżycie—wróg z wrogiem pojednani,
gdzie milczycie—druh skłócony z druhem
— czekam, wołam, szukam, tropię, słucham,
potrącam wskazówki wieków.
Wszędzie, gdzie mord ziemię splamił,
gdzie człowiek zabił człowieka,
odwracam, odwracam karty,
czekam, nawołuję nad mogiłami:
o powstańcie z grobów, o powstańcie z martwych,
o powstańcie, powstańcie, pomordowani".

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Wiersz wyjęty z książki „Słowik Litewski", która świeżo ukazała się na półkach księgarskich.

NA WIDOWNI

Polskie Radjo i jego dochody.—Odczyty w języku esperanckim.—Czemu esperanto nie zdobyło powodzenia.— O poziom kultury.

PRZED kilku dniami „Warszawski Dziennik Narodowy" opublikował wyliczenie, wykazujące, iż abonenci Polskiego Radja wpłacają tej instytucji zgórą 15 miljonów zł. rocznie. Suma pokaźna, słusznie też przy tej sposobności wspomniał o niezadowoleniu słuchaczów z „trwonienia czasu na odczyty w języku esperanckim itd.". W rzeczy samej, audycje radjowe raz za razem raczą publiczność takiemi ucztami duchowemi, jak naprzykład — w ubiegłym tygodniu — „Osobliwości wód leczniczych w Polsce", odczyt w języku esperanckim (z całym pietyzmem przez radjostację warszawską transmitowany z rozgłośni krakowskiej).

Wprawdzie dziś — po czterdziestu dziewięciu latach—losy esperanta są już, z praktycznego, życiowego punktu widzenia nieodwołalnie przesądzone: idea, zrodzona przy ulicy Gęsiej w Warszawie, nie zmieniła oblicza świata, dr. Zamenhof, starozakonny okulista z dzielnicy nalewkowskiej, nie przeobraził stosunków pomiędzy narodami, wynalazkiem swoim nie zaważył na losach Ludzkości, nawet jej — powiedzmy otwarcie — nie zainteresował... Jednakże, ku pożytkowi intelektualnemu kierowników Polskiego Radja, warto chociażby w kilku słowach objaśnić, dlaczego trud pracowitego izraelity od początku był skazany na niepowodzenie, dlaczego zgóry, zanim jeszcze doświadczenie życiowe nie potwierdziło tego w sposób oczywisty, pomysł sam bojowania o język esperancki uznać trzeba było za—desperacki.

Jako pierwszy główny argument, zalecający esperanto do roli pomocniczego języka w stosunkach międzynarodowych, wysuwano — ze strony zwolenników tej idei—jego ł a t w o ś ć. W rzeczywistości jednakże nie łatwość, ale inne zupełnie względy decydowały zawsze o rozpowszechnieniu się jakiegoś języka w świecie: zawiłość reguł gramatycznych i syntaktycznych nie przeszkodziła niegdyś w rozszerzeniu się użycia łaciny i greki, tak jak i dzisiaj trudności pisowni i wymowy nie uniemożliwiły angielszczyźnie czy francuszczyźnie zdobycia tej uprzywilejowanej pozycji, jaką w chwili obecnej zajmują. Z drugiej strony, prastota prymitywnych dialektów mieszkańców Melanezji nie budzi jakoś pośród ludów cywilizowanych ochoty do przyswajania sobie ich mowy. Zresztą kwestja trudności czy łatwości danego języka jest, właściwie biorąc, rzeczą względną. Młody Anglik żalił się naprzykład kiedyś, iż język polski jest tak trudny, tak bogaty w formy i odcienie, że w żaden sposób nauczyć się go nie potrafi. „Myli się pan"—pocieszał go Polak — „wiem to przecież z osobistego doświadczenia: inteligencja dwuletniego dziecka najzupełniej do pokonania tych trudności wystarcza"[1]).

Na niekorzyść zaś esperanta rozstrzyga ten fakt prosty i niewątpliwy, iż poznanie języka któregokolwiek z wielkich narodów europejskich otwiera dostęp do przez wieki gromadzonej skarbnicy arcydzieł piśmiennictwa (i to w tekście oryginalnym, nie zniekształconym tłumaczeniem!), pozwala korzystać z przebogatych zasobów literatury naukowej, technicznej w zakresie najrozmaitszych specjalności i t. d., i t, d. I z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, stosunek ten staje się dla esperanta coraz bardziej beznadziejny: porównajmy jedynie, ile corocznie drukuje się książek albo czasopism po francusku, po angielsku, po włosku, po polsku, ile zaś... w języku esperanckim... Co więcej, nie tylko jako dostęp do danej literatury narodowej, ale także do twórczości międzynarodowej wyuczenie się któregokolwiek z tamtych języków o ileż okaże się pożyteczniejsze: o ileż częściej dzieła np. hiszpańskie, japońskie i t. d. przekłada się na mowę Szekspira lub Goethego, niż na mowę doktora Zamenhofa!.. A przytem, kiedy porozumiewają się przedstawiciele dwu różnych narodowości, w większości wypadków język, którym się posługują, jest dla jednej przynajmniej strony językiem własnym, rodowitym, którym może wypowiadać się z całkowitą swobodą. Przy użyciu języka esperanckiego ta dogodność jest już zgóry, z natury rzeczy wyłączona. Czyż ten stan rzeczy nie utrudniałby, w fatalny sposób, zbliżenia pomiędzy narodami, czyż nie kładłby pomiędzy niemi nowej, uciążliwej zapory? Wszakże byłoby to jakby stałe rozmawianie tylko przez pośrednika, udaremniające wszelką bezpośredniość, wszelką zażyłość...

I tutaj dochodzimy do drugiego argumentu, którym propagatorzy esperanta usiłują uzasadnić jego użyteczność: Żaden naród — oświadczają — nie zgodzi się, ażeby za ogólny język pomocniczy uznać mowę innego narodu, dlatego też konieczne było wymyślenie mowy sztucznej, którą każdy przyjmie z ochotą, która niczyjej dumy patrjotycznej nie urazi i t. d. Argument niemądry i — przedewszystkiem — nieprzyzwoity. Wszak esperanto także nie spłynęło z nieba jako dar nadprzyrodzony dla ludzkości, ale jest ono również czyjemś dziełem, wytworem jakiejś konkretnej psychiki, jakiegoś określonego środowiska. Jakżeż to więc: jeżeli duma polska nie zgadza się na przyznanie rangi języka powszechnego np. angielszczyźnie, zbiorowemu, przez tysiąclecie kształtowanemu dziełu tak wielkiego i rolą swą i twórczością cywilizacyjną narodu, skądże ta duma mogłaby zezwolić na to, aby ten zaszczyt przypadł w udziale tworowi b. p. Zamenhofa z dzielnicy nalewkowskiej?.

Że jakieś kółko esperantystów na Nowolipkach nie orjentuje się i nie może orjentować się w tych sprawach, nic w tem strasznego i nie byłoby powodu do zaprzątania uwagi czytelników polskich tą egzotyką. Jeżeli jednak kierownictwo Polskiego Radja chce w tym zakresie orjentować się według wskazówek p. Leo Belmonta, jeśli ten styl, ten gatunek kultury uważa za obowiązujący w swej działalności, to zagadnienie nabiera cech poważniejszych i wymaga zainteresowania się niem ze strony opinji. O poziom chodzi, o poczucie odpowiedzialności intelektualnej...

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Również i „łatwość" języka esperanckiego może być (tak przynajmniej wydaje się laikowi) bardzo wątpliwa. Jest tam podobno „ułatwiająca" reguła, że wszystkie rzeczowniki kończą się zawsze samogłoską „o", ale ponieważ wyrazy poszczególne wziął wynalazca ze źródłosłowów romańskich, germańskich i słowiańskich, w jakiż więc sposób esperantysta, zapomniawszy, jak przełożyć naprzykład słowo „głupstwo", przypomni sobie, czy ma powiedzieć prawidłowo; „betizo", „dummhajto", czy też poprostu „bzduro"?...

GŁOSY

W OSTATNIĄ niedzielę odbyło się w Łodzi wielkie zebranie Stronnictwa Narodowego. Różniło się ono zewnętrznym wyglądem od poprzedniego. Nie było jasnych koszul ani mieczyków. Surowe zakazy uniemożliwiły przybieranie się w efekt symbolów ideowych. Trudno było zmienić wyraz oczu. Siła ich blasku nie przygasła ani na jotę.

Zebranie odbyło się w sali, gdzie to niedawno mieli tak niefortunny występ socjaliści. „Kolego — mówili zebrani do przybyłego z Warszawy prelegenta — teraz to już w robotniczych dzielnicach socjaliści zebrań nie urządzają — boją się. W śródmieściu jedynie, gdzie żydy, tam jeszcze gardłują...". Socjaliści uciekający z dzielnic robotniczych pod opiekę burżuacyjnego żydostwa—to widok, przyznajcie, wielce symptomatyczny. A w kupiecko-przemysłowem *city* panuje — wiadomo — zasada handlowa. Nic darmo. To też wysługuje się t. zw. „front ludowy" żydom, jak może. Nawet im w Krakowie krew swoją ofiarował.

Siła natężenia akcji tego frontu wzrasta. Czerwona bibuła agitacyjna usiłuje się wcisnąć wszędzie. Stara się dotrzeć do wszystkich. Przetwarza się nawet w czynne wystąpienie przeważnie w formie starej metody — strajku politycznego. Co było jednak niesłychanie atrakcyjne kiedyś, nie jest już dzisiaj. Nie mogę tego jakoś zrozumieć zakonserwowani postępowcy. Tekstem czerwonej demagogji mogą się już tylko podniecać ich autorzy, nikt więcej...

Masy w przeciwieństwie do nich są zdrowe i w swym światopoglądzie młode. W światopoglądzie i sile fizycznej. „Walkę młodych" wydawaną obecnie przez warszawskiego „Robotnika" czytają już tylko nieco przytyłe bojowce, model 1905.

Niedawno jeden z wybitnych działaczy socjalistycznych (oczywiście żyd) przyznał się z zakłopotaniem, że od niejakiego czasu sztaby partyjne wykazują *maximum* energji i wysiłków celem rozszerzenia swoich wpływów. „Niestety — mówił — wyników do tej pory wśród mas jeszcze jakoś nie widzimy..."

I nie zobaczą.

O CZASACH SASKICH

NA ostatniem posiedzeniu sekcji studjów historyczno-krytycznych warszawskiego Tow. Miłośników Historji dr. St. Sidorowicz zreferował „Czasy saskie w świetle literatury historycznej ostatniego dwudziestolecia."

Interesujący przegląd pozycyj bibljograficznych poprzedził sprawozdawca rozważaniami metodologicznemi.

Przeciwstawił się m. in. traktowaniu epoki saskiej jako organicznej, jednolitej całości, wyróżniając dwa odrębne okresy: pierwszy obejmowałby panowanie Augusta II Mocnego, drugi czasy St. Leszczyńskiego i Augusta III. Pierwszy okres jest właściwie kontynuacją czasów Jana Sobieskiego, schyłkiem jakby epoki poprzedniej, dobą jej upadku, drugi — zawiera pod grubą powłoką zepsucia i anarchji zarodki późniejszego odrodzenia. W okresie pierwszym chyli się ku starości i stacza gwałtownie w dół epoka Sobieskiego, w drugim — budzi się ruch reformatorski, zaczyna świtać zdrowa myśl polityczna, która niezadługo wystrzeli jasnym płomieniem w dobie Stanisława Augusta.

Stanowisko przeciwne zajął w dyskusji przewodniczący sekcji historyczno-krytycznej dr. Janusz Woliński, dowodząc, że rozbijanie czasów saskich na dwa okresy nie ma podstaw.

Epoka saska była jednolita. Cechował ją w stosunkach wewnętrznych przedział, jaki istniał między społeczeństwem a dynastją saską, pochodzący stąd, że obydwaj Sasi byli królami narzuconymi zzewnątrz, a w stosunkach zagranicznych był to okres narodzin nowożytnego systemu polityki pruskiej i rosyjskiej wobec Polski. Te dwa kapitalne węzły decydują, zdaniem dr. Wolińskiego, o jednolitości epoki saskiej. Ciekawy przegląd opracowań, tyczących się czasów saskich podał dr. Sidorowicz, wysuwając na czoło 5 a nawet 6, jak to w dyskusji uzupełniono, wielkich dzieł najznakomitszego znawcy tej epoki, prof. W. Konopczyńskiego.

W dyskusji uzupełniono niektóre pominięte przez referenta pozycje. Zabierali w niej głos: mjr. O. Laskowski, dr. Karwasińska, prof. Leśniewski i dr. Woliński. Uderza fakt, że ani referent, ani dyskutanci ani słowem nie wspomnieli o pracach dr. K. M. Morawskiego, które w zgoła nowem świetle przedstawiają epokę saską.

Jeżeli można byłoby jeszcze zrozumieć pominięcie najnowszego, kapitalnego dzieła tego autora „Źródło rozbioru Polski", tłumacząc przeoczenie tem, że świeżo się ukazało i nie znalazło się w rękach historyków, to przemilczenie rewelacyjnego studjum K. M. Morawskiygo, p. t. „Bractwo wrogów wstrzemieźliwości" zamieszczonego w „Kwartalniku Historycznym" przed rokiem z górą, a poświęconego Augustowi II i jego doradcom, nie da się niczem usprawiedliwić, chyba tylko dawnemi nałogami.

Nie da się już dziś utrzymać pogląd, że badania historyczne, zmierzające do ujawnienia roli tajnych związków, z masonerją na czele, w wypadkach dziejowych XVIII i XIX stulecia, o ile prowadzone są źródłowo i krytycznie, nie należą do dorobku naukowego. Przeciwnie, prace traktujące o XVIII i XIX w., a nie uwzględniające działań wolnomularstwa, coraz bardziej będą odbiegały od prawdy dziejowej. Czas już przerwać milczenie, jakiem oficjalna nauka otacza prace Morawskiego.

Wreszcie zarówno referent, jak i biorący udział w dyskusji historycy podnieśli braki, jakie jeszcze są w opracowaniach epoki saskiej.

Nie mamy dotąd krytycznego wydania źródeł dziejowych tego okresu, dalej nie zbadano należycie początków panowania Augusta II, brak monografji z tego czasu, odłogiem leży ważna kwestja poglądów politycznych ówczesnych mas szlacheckich, ruch umysłowy czasów saskich czeka na swego dziejopisa i t. d.

Okazałoby się może przy bliższem zbadaniu, że osławiona „ciemnota mas szlacheckich" nie była znów taka ciemna natomiast kultura królów saskich odstraszyłaby nas dziś gusłami i zabobonami.

TAD. B.

NAUKA i LITERATURA

HORAITANA

JAK przed kilkoma laty Akademja Umiejętności wydała „*Commentationes Vergilianae*" — zbiorową księgę ku czci Wirgiljusza, tak teraz ku uczczeniu 2000-lecia narodzin Horacego ta sama zasłużona instytucja opublikowała księgę „*Commentationes Horatianae*". Prócz współpracowników księgi poprzedniej (prawie wyłącznie Krakowian) stanęli i teraz do dzieła inni filologowie (warszawscy i wileńscy). Całość dzieli się na dwie części: *Pars Latina* i *Pars Polona*, równe niemal rozmiarami, nierówne ilością współpracowników.

Na część polską złożyły się dwie rozprawy. Pierwsza z nich, której autorem jest prof. J. Oko, omawia studja wileńskiego profesora, G. E. Groddecka, który był nauczycielem Mickiewicza i na wieszcza naszego wywarł wpływ tak poważny. Imponuje erudycją rozprawa Wincentego Ogrodzińskiego o polskich przekładach Horacego. Autor uzupełnił, a raczej conajmniej dziesięciokrotnie powiększył wykaz przekładów, jaki dał R. Ganszyniec w napisanej do spółki z L. H. Morstinem książce „*Ecce poeta*"; w aneksach przytoczył wiele przekładów nieznanych, wydobytych po raz pierwszy z rękopisu.

Nie poprzestając na tem, Ogrodziński rozważa formę i styl przekładów, ocenia je pod względem filologicznym i estetycznym; pochwały największe oddaje Kochanowskiemu, Siemieńskiemu, Konst. Górskiemu, Norwidowi, Faleńskiemu, Sienkiewiczowi, Asnykowi, L. H. Morstinowi i J. Birkenmajerowi. Z radością witamy zapowiedź Ogrodzińskiego, że pragnie kiedyś uzupełnić swą pracę innemi studjami „*De Horatio Polono*". Istotnie należałoby wskazać, jak Horacy oddziałał na poglądy szlachty polskiej w w. XVII; jak budził ducha patrjotycznego w w. XVIII (hasłem Sejmu Czteroletniego było *Nil desperandum!*), jak — co się może paradoksem wyda — przodował natchnieniom naszego romantyzmu.

W części łacińskiej na uwagę zasługuje przedewszystkiem śliczna rozprawka T. Zielińskiego o kobietach opiewanych przez Horacego. Autor dochodzi do wniosku, że *dulce ridens Lalage* była żoną Horacego w danem mu przez Mecenasa Sabinum. *Se non è vero, è ben trovato*; dowody na tezę autora możnaby znaleźć także w innych odach oraz w epodzie II.

Przyczynki Sternbacha, Sinki, Dziecha, Kowalskiego, Witkowskiego, Przychockiego, Kumanieckiego, Schnaydra, Strzeleckiego, Winniczakówny przynoszą wyjaśnienie różnych miejsc w utworach poety. Mało wyjaśnia statystyka rzeczowników i innych części mowy, znajdujących się w poezji Horacego, sporządzona przez J. Smerekę; może ona zanudzić nawet najwytrwalszego czytelnika. Natomiast ubawić czytelnika może niejednokrotnie szkic Benzina Katza „*De notitia Horatii apud scriptores Hebraeos*", z której dowiadujemy się, że w mieście Brodach żyli „znakomici" (*praeclari*) mędrcy i poeci żydowscy, tacy jak Nuchem Krochmal *(philosophus)*, Srul Rall i inni podobni. Nie wiedzieliśmy dotąd, że w Brodach jest tak wbród poetyckiego nasienia. Toż to istny Heli-Kohn żydowski! (J. B.)

AUSTRJA I KWESTJA UKRAIŃSKA

UKAZAŁA się broszura ciekawa — ciekawa choćby ze względu na autora: p. Podleski był i jest konserwatystą z pod znaku Stańczyka [1]). Ale mimo to jego broszura jest aktem oskarżenia przeciw „szkole krakowskiej". Jej bowiem, czy też politykom spod jej znaku, przypisuje autor w dużej mierze rozwój prądów ukrainofilskich i ukrainizmu, z którym dziś przychodzi nam się porać.

[1]) Franciszek Podleski: „Zagadnienie ukraińskie na tle stosunków austrjackich". Str. 144.

Wskazuje autor wyraźnie, że jest to spuścizna austrjacka. Winę „szkoły krakowskiej" widzi on w okoliczności, iż zbytnio przejęła się ona lojalizmem austrjackim i zapomniała o konieczności patrzenia na sprawy z punktu widzenia polskiej racji stanu. Ponieważ zaś ona właśnie miała decydujący wpływ na bieg wypadków, przeto, rzecz jasna, doprowadziło to jej fałszywe stanowisko do tak smutnych wyników.

Praca p. Podleskiego obejmuje okres od rozbiorów Polski do końca wojny światowej, a dzieli go autor następująco:

I. Koniec XVIII i początek XIX wieku. II. Czwarte i piąte dziesięciolecie XIX wieku. III. Czasy Agenora Gołuchowskiego. IV. Centralizm a federalizm. V. Sprawa ruska na początku ery konstytucyjnej — powstanie „ukrainizmu". VI. Stosunek wzajemny Polaków i Rusinów na początku ery konstytucyjnej w Austrji. VII. Rusini wobec rządów liberalnych w Austrji. VIII. Era Taaffego. IX. Od upadku Taaffego do uchwalenia reformy wyborczej. X. Od reformy wyborczej do wybuchu wojny światowej. XI. Od wybuchu wojny światowej do śmierci ces. Franciszka Józefa. XII. Od śmierci cesarza Franciszka Józefa do końca wojny światowej.

Podział ten zbyt może ściśle wiąże się z historją Austrji, gdy, jak wiadomo, na stan „kwestji ukraińskiej" niewątpliwie duży i przeważający wpływ miał stopień spoistości narodowej polskiej, jak również zrozumienie polskiej racji stanu—zaś i jedno i drugie niewątpliwie wzmagały się w miarę rozwoju obozu narodowego. Dzięki temu właśnie zakusy austrjackie, stanowiące realizację niemieckiego planu Berlin-Bagdad, zostały udaremnione, a w każdym razie zahamowane.

Jeśli więc idzie o okres ostatnich przed wojną dziesiątków lat — to historyk nie powinien pomijać faktu, że do głosu doszedł już wówczas kierunek bardzo pod różnemi względami różniący się od poprzedniej „szkoły krakowskiej".

Choć kierunek ten nie cieszył się wielkiemi łaskami w oczach centralistów wiedeńskich jako „*politisch verdächtig*", to jednak musieli oni liczyć się z nim jako z realną siłą.

Na usprawiedliwienie autora można przytoczyć, że pracę swą zatytułował: „Zagadnienie ukraińskie na tle stosunków austrjackich"—że więc wziął sobie jako temat takie właśnie ujęcie omawianego zagadnienia. A przyznać trzeba, że miał po temu dość sposobności, bo był przed wojną wysokim urzędnikiem ministerjalnym w Wiedniu.

Praca p. Podleskiego w dużej mierze opiera się istotnie na autopsji, na bezpośredniej obserwacji, chociaż autor wspomina w tekście mimochodem kilka dzieł, na których widocznie opierał się przy pisaniu swej pracy. Może to nawet czyni ją bardziej przystępną, bardziej — jeśli tak można powiedzieć—bliską, zwłaszcza, że pisana jest w sposób zajmujący i czyta się ją przyjemnie. Zapewne nie jest to jakaś praca źródłowa, najeżona cytatami i odnośnikami, ale mimo to duże usługi może oddać przy poznawaniu zagadnienia. Śmiało też polecić ją można do czytania, byle tylko nie opierać się na niej wyłącznie.

A. S.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

P. Halina Borowikowa, pisująca pod pseudonimem męskim Jerzego Marlicza, dała się poznać najpierw jako dzielna i sprawna tłumaczka dzieł Curwooda. Zachęcona entuzjastycznem przyjęciem, jakiego doznały w Polsce dzieła i tłumaczenia, porwała się na eksperyment śmiały: do cyklu zmarłego pisarza angielskiego dodała ogniwo ostatnie („Łowcy przygód"), napisane tak zręcznie, że pod każdym względem dorównywało swemu pierwowzorowi. Odtąd rozpoczyna się okres oryginalnej twórczości utalentowanej pisarki. Jej talentu dowodem była już powieść „Bractwo białego lamparta", wydana przed dwoma laty; w wyższej

zaś mierze ową zapowiedź spełnia powieść „Ośmiornica" (nakł. Księg. św. Wojciecha). Jest to utwór naprawdę udatny, zaciekawiający i tłem swojem i fabułą i rysunkiem charakterów. Tłem jest Syberja, dobrze znana z autopsji powieściopisarce. Podchwycenie obyczajów ludności syberyjskiej jest bodaj największą zaletą. Początkowy rozdział, opisujący wiejską łaźnię parową, wypadł wybornie. Umiała też pani Borowikowa oddać urok i grozę lasów południowo-syberyjskich, wśród których rozgrywają się wypadki pełne tajemniczości i napięcia. Kilka jest głównych postaci tego dramatu. Musimy powiedzieć, że wśród nich najmniej siły przekonywającej ma ta, od której powieść wzięła tytuł, a mianowicie owa „ośmiornica", kobieta-szpieg, siostra Julja, trzymająca w ręku losy innych osób. Za to doskonały jest Aleksander Kersten, postać wystudjowana wspaniale pod względem psychologicznym, choć autorka umyślnie przesłania początkowo wiele tajników jego duszy. Postacią drugą, równie głęboko ujętą, jest Dymitr, rzekomy Visconti, który ma na sumieniu dwa zabójstwa oraz przybranie cudzego nazwiska, a przecie znajduje wierną miłość kobiety uczonej, odwzajemnioną przezeń równie prawdziwem i gorącem uczuciem, które dlań stanowi źródło duchowego podniesienia. Powieść kończy się pełną mocy dramatycznej sceną rozstania się dwojga tych ludzi. Co się stało z aresztowanym Dymitrem i pozostałą w samotności Nataszą, autorka nam nie wyjaśniła. Czekamy na ciąg dalszy powieści. (J. B.)

TEATR

„PIERŚCIEŃ WIELKIEJ DAMY"

NARESZCIE doczekaliśmy się wystawienia przez zespół Reduty zapowiadanego od dawien dawna norwidowskiego „Pierścienia wielkiej damy". Utwór ów zainscenizowano, jak się tego było można po Reducie spodziewać, z budzącym podziwienie i szacunek nakładem staranności. Bodaj, że pobito tym razem wszystkie (dotychczas przez żaden inny teatr w Polsce nie obalone) własne rekordy, osiągnięte w epoce najbujniejszego rozkwitu eksperymentów teatralnych i teatrologji, w szczęśliwych czasach przedsanacyjnych i przedkryzysowych.

Wprawdzie już podczas inscenizowania „Domu otwartego" Bałuckiego, przeistoczono Sale Redutowe w kilkopokojowe mieszkanie mieszczańskie z t. zw. „salonem", jadalnią, przedpokojem etc., usiłując tym sposobem dać widzom złudzenie, że zostali zaproszeni na wieczorek tańcujący, zorganizowany w cudzym domu przez panią Pulcherję Wicherkowską, ale wówczas dokonano tej metamorfozy przy pomocy samych mebli, nie posuwając się do przerabiania lokalu teatralnego.

Sale Redutowe mieszczą się na pierwszem piętrze, więc transformacja była stosunkowo łatwa. Przeistoczenie jednak piwnicy gmachu przy ulicy Kopernika, gdzie Reduta gnieździ się obecnie, w pałacowe apartamenty hrabiny Harrys, dokonane w celu wywołania w nas wrażenia, że jesteśmy takimi samymi gośćmi owej wielkiej damy, jak graf Szeliga lub sędzia Durejko, to wyczyn inscenizatorski bez porównania efektowniejszy. Salę teatralną przemieniono w amfiladę wspaniale umeblowanych salonów, nie ograniczając się do umeblowania jej rozmaitymi kompletami stylowych sprzętów. Rozmaitość pokoi została zaznaczona także przez pomalowanie na różne odcienie ścian. Nie dałbym za to głowy, czy nie dokonano nawet pewnych przeróbek architektonicznych. Oprócz pałacowych salonów w tejże samej suterynie zainstalowano również arcystylowo urządzoną izdebkę Mak-Yksa, mieszkającego na poddaszu. Stworzenie ułudy podstrysza w podziemiu, ułudy realistycznej, to zamiar artystyczny bodajże jeszcze zuchwalszy i oryginalniejszy, niż urządzenie w piwnicy salonów hrabiowskich.

Na poddaszu Mak-Yksa rozgrywa się pierwszy akt sztuki. Dwa następne rozgrywają się w hrabiowskiej willi Poddasze zostało urządzone w ten sposób, że podczas obu aktów końcowych udaje z powodzeniem część magnackiego apartamentu.

Naczelną ozdobę owego apartamentu, pełnego ludwików, antyków, zwierciadeł, bronzów, kobierców, przypominających potrosze wystawę Szczerbińskiego, potrosze zaś antykwarjat, stanowi oprócz jakiegoś b. interesującego malowidła, któremu nie zdążyłem dobrze i zbliska się przyjrzeć, wyborny portret hrabiny Harrys pędzla p. Jana Tyszkiewicza, namalowany — jak informuje program — specjalnie dla użytku Reduty. Do portretu owego pozowała autentyczna hrabina, pani Maurycowa Potocka z Jabłonny, *ci devant* pani Marja Brydzińska, której powierzono wykonanie głównej kobiecej roli. Można przypuszczać, że pomysł takiego właśnie roli owej obsadzenia, nasunęła p. Juljuszowi Osterwie istniejąca w tekście „Pierścienia wielkiej damy" wzmianka o pani Orsi, księżnej-aktorce.

Jak to dobrze, że Norwid dał swojej bohaterce tytuł tylko hrabiowski. Gdyby uczynił z niej np. księżnę, Reduta znalazłaby się w sytuacji kłopotliwszej. Zaangażowanoby chyba Polę Negri, ex-księżnę Mdivani. Przyjaciółka i powiernica hrabiny Harrys, Magdalena Tomir oznajmia w drugim akcie, w rozmowie z hrabią Szeligą, że ma w żyłach krew wschodnią, gdyż matka jej była ormianką. Przypuszczam, że właśnie dla tego powierzono tę rolę aktorce, której genealogji nie znam, ale której urodziwa powierzchowność o przymieszcze czegoś wschodniego świadczy b. przekonywająco. Rolą sędziego Durejki dano rasowemu Litwinowi, p. Wołłejce.

Przy tak bardzo wyśrubowanym poziomie redutowego realizmu nie ośmielamy się oczywiście ani przez chwilę podejrzewać autentyczności rekwizytu tytułowego, który musi być, sądząc po blasku, klejnotem bardzo kosztownym. Z realizmem owym kłóci się tylko jeden szczegół przedstawienia, mianowicie świeczniki wyraźnie elektryczne w przedpokoju hrabiny, których światło różni się wybitnie od światła świec w salonie. Gdyby nie ogólny poziom realizmu, przyjętego przez inscenizatora, nie zwróciłbym oczywiście na owe świeczniki uwagi. Ale przy realizmie tak wyśrubowanym, anachroniczność ich raziła mnie dotkliwie. Przypominała mi najniepotrzebniej powieści pana Juljana Wołoszynowskiego.

Nakład staranności włożony w obsadę i w dobór rekwizytów to jeszcze bagatela w porównaniu z tym nakładem pieczołowitości i pomysłowości, jaki inwestowano w reżyserję, w grę aktorską, zwłaszcza zaś w wygłaszanie tekstu.

Z tem wygłaszaniem tekstu, to w „Pierścieniu wielkiej damy" sprawa jest pierońsko skomplikowana. Norwid we „Wstępie autora" pisze:

„Wygłaszanie rymu zależy od umiejętnego czytania krementów. Kto krementu czytać nie umie, nie wygłasza piękności wiersza".

Gdy przeczytałem po raz pierwszy te słowa, wiedziałem coprawda oddawna, co znaczy wyraz ekskrement, co znaczy jednakże znaczy wyraz krement—nie miałem zielonego, jak to mówią, pojęcia. Profesor Pini w swojem wydaniu dzieł Norwida postawił przy wyrazie tym znak zapytania. Wyjaśnienie tego wyrazu znalazłem w kochanym podręcznym Larousse. *Crement* (z łacińskiego: *crementum*) to ilość sylab jakie rzeczownik odmienny przybiera w innych przypadkach poza *nominativem.* Po łacinie *crementum* znaczy przymnożenie.

W pomienionym „Wstępie autora" czytamy dalej:

„Wiersz bezrymowy wymaga poprawniejszego czytania dlatego, że i w pisaniu musi być od wiązanego poprawniejszym. A to z tej przyczyny, iż możnaby powiedzieć: że bezrymowy wiersz rytmuje się na całą swą długość, nie zaś w końcowem jednem zebrzmieniu wyrazów."

Łatwo wymagać od aktorów, aby rytmowali „na całą długość" pisane białym wprawdzie, ale prawie zawsze regularnym trzynastozgłoskowcem tyrady norwidowskiej „Kleopatry".

Jak gdyby wczoraj mówił z bazylogrammatą
Lub z trzymającym wachlarz z lewej strony tronu,
Tak każdy dzisiaj myśli, że czasów zna sekret.

Jakże jednak rytmować „na całą długość“, zawierające rozmaitą ilość sylab wiersze „Pierścienia wielkiej damy?“

Oto pierwszy promień z tych, co rażą... (10 sylab)
Jakby jedne były nam znajome, (10 sylab)
Drugie obce—i te szły w szyby, (9 sylab)
Jak ktoś obcy, lub obcych zwiastujący? (11 sylab).

Wierszy tych wygłaszać rytmicznie „na całą długość”, zachowując przytem normalny polski akcent na drugiej sylabie od końca, absolutnie niepodobna. Czegóż tedy, u licha, Norwid chce od aktorów? Ano, widocznie żąda on, żeby „Pierścień wielkiej damy” skandowano, nie zwracając zgoła uwagi na akcent gramatyczny. Skandować należałoby te wiersze chyba tak:

(Wersalikami zaznaczam sylaby akcentowane).

„Pan naWET mnie dar(u)JE tę wątPLIwość
iż w roZUmie gminNYM moim NIE wiem,
dlaczeGO pan tu MIESZka nie ÓWdzie,
w pawiLOnie oBOK krewnej PAŃskiej“.

Nie podobna mi tu formułować prawideł owej osobliwej, nic prawie w istocie swojej ze skandowaniem wierszy łacińskich i greckich, opartem na iloczasie, nie mającej wspólnego, aczkolwiek pozornie do niego podobnej recytacji. „Daleka ona bardzo jest od mickiewiczowskiej podróbki metrów klasycznych. Skąd Litwini wracali...“ Bliższa wierszom (rymowanym) Biernata z Lublina i rymopisów średniowiecznych, których utwory, czytane dziś zazwyczaj z akcentowaniem gramatycznem robią na nas mylne wrażenie prymitywów nierytmicznych, a które najprawdopodobniej dukane były niegdyś rytmicznie:

zaJĄC się NIEgdy z ŻÓŁwia ŚMIAŁ,
jaKOby NIEryCHŁO bieGAŁ.

Stopy tu inne, niż u Norwida, ale zasada ta sama taka jak w pieśni Wielkanocnej:

weSOły DZIŚ nam DZIEŃ naSTAŁ,
któREgo z NAS kaŻDY żąDAŁ.

Otóż idąc na premjerę „Pierścienia wielkiej damy” ogromnie byłem ciekaw, czy panowie Osterwa i Limanowski norwidowskie żądanie rytmowania wiersza przez „całą długość” uszanują. Przedrukowali z pietyzmem „Wstęp autora” w programie, niektóre słowa ustępu o wierszu bezrymowym reżyser kazał nawet odbić niebieską farbą, żeby zwrócić uwagę czytelnika na myśl autora, orzeczenie zdania „bezrymowy wiersz rytmuje się na całą długość” wytłoczyli drukiem rozstrzelonym, ale wymagania autorskiego nie uwzględnili.

Nie mam o to do nich zresztą najmniejszej pretensji. Wyszło to napewno na korzyść przedstawieniu. Zachowali normalny akcent gramatyczny na sylabie przedostatniej. Aktorzy te wiersze, w których akcent gramatyczny pokrywa się z akcentem recytacyjnym, wygłaszali rytmicznie, te zaś w których się nie pokrywa, przerabiali na prozę. Ponieważ jednak każdy niemal wyraz został wypowiedziany bardzo inteligentnie, ponieważ z godną podziwu pieczołowitością wymodulowano każde (prawie) słowo, nie widzę powodu, żeby rozdzierać szaty nad nieposzanowaniem autorskich intencyj. O ile pseudojamby Biernatowe są do słuchania bardzo miłe, przy krótkości utworków tego poety, o tyle fałszywe anapesty norwidowskie okazałyby się prawdopodobnie w długich salonowych rozmowach nieznośne.

STEFAN GODLEWSKI

MUZYKA

FILHARMONJA. — W roku bieżącym mija pięćdziesiąt lat od śmierci Franciszka Liszta. Zaledwie pięćdziesiąt lat! A nam się zdaje, że od czasów wybujałego, rozegzaltowanego romantyzmu, którego Liszt barokowym był nieomal przejawem, tyle wody upłynęło... Przyszła reakcja. Jedna, potem druga, silniejsza. Potem całkowicie inny świat, aż do chwili, w której niektórzy poczynają się pytać, czy aby czasami nie przeżywamy renesansu romantyczności. Nie. Żadnego renesansu niema. Idealizm a romantyzm to niezupełnie jedno i to samo, chociaż wiele posiadają cech wspólnych. Różnica jest chociażby w formie. Ona to coprawda umiejscowiła Liszta w czasie. Jest przecież bardziej „sezonowym“, aniżeli Chopin, wieczyście młody i żywy, niemal że nam współczesny. Taka fantazja po naczytaniu się Dantego, jeśli was nawet nie śmieszy, albo nawet nie irytuje, to bawi tak samo, jak patos nieszczęśliwego gautierowskiego kawalera d'Alberta: „Ha! zaiste, to pazur Szatana, okryty, jak rękawiczką, tą atłasową skórką; — to jakiś demon szyderczy, który sobie igra ze mną; — jest w tem jakieś czarnoksięstwo. — To zbyt potwornie niemożliwe“...

Liszt kapłan (koniecznie! koniecznie!) sztuki, wprowadzający salę w stan ekstatycznego upojenia, mistrz dla którego żadna trudność techniczna nie istniała, nigdy, ani nawet w chwilach histerycznych objawów uwielbienia słuchaczy nie traktował siebie jako wyłącznie wirtuoza. Był uczciwy. Dlatego to tak trudno zgodzić się z tem, iż jedynym jego konkurentem był Thalberg, niegardzący płytkim nawet efektem, byle tylko za wszelką cenę efektem!.. Mimowoli dotknąłem najdrażliwszego miejsca: niewątpliwych płycizn w twórczości kompozytorskiej Liszta. Wynikały one z pozy, mimowolnej manjery, której artysta był wspaniałym wydaniem, a wreszcie — co tu dużo gadać — i stylu estrady. Ów styl, wytwarzający się mimo wszystko i u niego, obmierzł mu wreszcie, dokuczył do żywego. Wśród największego powodzenia usuwa się na bok, by wreszcie w końcowej fazie swego życia przyjąć święcenia. W postaci Liszta, przybierającego sukienkę kapłańską, jest coś doprawdy wzruszającego. Od dzieciństwa już pełnego sukcesów, poprzez triumfy wieku dojrzałego, ówczesny wielki świat, pracę na dworze weimarskim aż do decyzji służby bożej wiedzie barwna linja bogatego życia. Impulsywna, pełna temperamentu natura potrafiła szczerze uwielbiać genjusz Chopina, a jednocześnie poddawać się suggestji dzieł... Berlioza, którego przerabia na fortepian, stwarzając mu tem samem — prawda — popularność, ale pozbawiając jednocześnie charakteru, tkwiącego bezprzecznie przedewszystkiem w instrumentacji. O Berliozie czytałem trafną uwagę, iż „...gdyby urodził się on o pięć wieków wcześniej, przebiegałby zapewnie gościńce Francji, śpiewając na wielkich placach wiersze i melodje, tworzone żywiołowo i namiętnie“. (Coeurby). Rozumiecie teraz kontakt z Lisztem? I rozumiecie, dlaczego jednocześnie mógł rzucać z pasją na fortepian dzieła Chopina, wywołując tem samem, przez wnoszenie w interpretacji elementu siły, zachwyt i zrozumienie dla wielkości przyjaciela?

Viktor Vaszy, przybyły z Budapesztu, prowadził na wieczorze w Filharmonji w dniu 3-cim kwietnia *„Tasso— Lamento e triomfo“*, oraz symfonję „Faust“ (z towarzyszeniem chóru „Harfy“).

Józef Turczyński odegrał koncert fortepianowy *A-dur*, pozatem dwunastą rapsodję, *Consolation des-dur* i „Sonet Petrarki” z drugiego „Rocznika Pielgrzymstwa”, w którym Liszt zawarł wrażenia odniesione w Włoszech. Już nie notuje tam, jak w pierwszej książce, swych uczuć na widok kapliczki Tella w Szwajcarji, ale popada w zachwyt nad dziełami sztuki. Jest w tych utworach, jak i koncepcji, wiele właśnie z ówczesnej epoki. Można rzec nawet, że — wszystko.

W. NARUSZ

POKŁOSIE

OŻYWCZY POWIEW

Wzmaganie się propagandy komunistycznej u nas stwierdzali od pewnego czasu wszyscy, mający bliższy kontakt z życiem społecznem, to też obfity połów, jakiego dokonano w ostatnich tygodniach wśród działaczy komunistycznych nie zdziwił nikogo. Sensację mogło wywołać chyba tylko wykrycie potajemnej stacji radjotelegraficznej u Szmula Ekstermana gdzieś w dzielnicy nalewkowskiej. „Warszawski Dziennik Narodowy" słusznie pisze z tego powodu, że „walka z komunizmem musi się przedewszystkiem rozstrzygnąć na płaszczyźnie ideowej. Mechaniczne represje, stosowane przez władze, odgrywają tu rolę drugorzędną. Są one nieuniknione, nie rozwiązują jednak zagadnienia. Propagandzie komunistycznej przeciwstawić trzeba wielką ideę. Ideę porywającą masy, przeobrażającą życie społeczne i odbudowującą państwo".

Jest rzeczą oczywistą, że ideą, która może się skutecznie przeciwstawić komunizmowi w sferze ekonomicznej, jest tylko przywrócenie do pełnego „honoru" idei własności prywatnej, mocno przez rozwój gospodarczy ostatnich stu lat nadwyrężonej. Idei tej nie może przecież służyć koncentracja własności w niewielu rękach, połączona z wywłaszczaniem, proletaryzacją mas, a formy władania takie, jak np. wielkie towarzystwa akcyjne, gdzie poczucie własności rozpływa się i niczem się nie manifestuje u wielkiej części akcjonarjuszy, są raczej szkołą wstępną, przygotowaniem do komunizmu. Stanąć przeciwko komunizmowi może tylko własność w narodzie upowszechniona, a więc rozdrobniona. Myśl ta na szczęście zyskuje u nas coraz więcej zrozumienia, coraz częściej zwracamy się do drobnego warsztatu, czy przedsiębiorstwa. A w tym procesie programowym przybywa czynnik bardzo ważny, mianowicie sukurs, jaki całości Polski dać może uruchomienie zapasów drobnego kapitału i doświadczenia gospodarczego, jakiem rozporządzają nasze ziemie zachodnie. Zasoby to, jak na nasze stosunki, znaczne, a składają się właśnie z elementów pożądanych. Dotychczas Zachód nasz zachowywał się raczej biernie, trwał raczej w defensywie przeciw napływowi ze Wschodu. Dziś zaczyna się z tamtych stron ofensywa na wschód i mnożą się jej oznaki.

Prasa dzielnic zachodnich, jak „Orędownik", „Kurjer Poznański" szerzy wiadomości o potrzebach dzielnic centralnych i wschodnich, wywołuje ruch pionerski drobnych kupców i rzemieślników. Miejmy nadzieję, że niebawem ten samorzutny ruch zostanie ujęty w formy organizacyjne i odpowiednio się wzmoże.

W „Kurjerze Poznańskim" znajdujemy oświadczenia prezesa Związku Obrony Przemysłu Polskiego, p. Maciejewskiego, warte zanotowania:

„W czasie budzenia się sił gospodarczych" — mówi p. M. — „w poszczególnych połaciach kraju, biernie dotąd spoglądających na rozrost elementów gospodarczych obcych, istnieje konieczność przerzucenia nadmiaru elementów gospodarczych z zachodniej Polski do innych jej części. W nowym okresie zatem poczynania Związku znamionować będzie postawa ofensywna".

„W dzisiejszym kryzysie narzuca się jako konieczność gospodarcza pierwszorzędnego i zasadniczego znaczenia sprawa przestawienia dotychczasowych nierentownych warsztatów produkcyjnych na warsztaty mniejsze, którym obcy jest biurokratyzm gospodarczy i które pracują na zdrowych zasadach handlowych."

Zwróciwszy uwagę na widoki powodzenia i rozwoju, jakie mają niektóre działy drobnej produkcji oraz na konieczność należytego wykorzystania produktów rolnych, p. Maciejewski mówił dalej:

„Wielkie perspektywy stworzyć może uruchomienie i wykorzystanie chałupnictwa oraz przemysłu ludowego. W ramach tych form gospodarczych otwierają się możliwości zatrudnienia dużych rzesz ludności, oraz wykorzystania posiadanych przez nas surowców jak metale, skóra, bursztyn, glina itd. W chałupnictwie możnaby wyzyskać umiejętności techniczne reemigrantów, przynoszących szereg nowych pomysłów, nowych form oraz modeli różnych przedmiotów (zabawkarstwo)".

Zaczyna więc wiać jakiś ożywczy powiew od zachodu. Na razie są to usiłowania poszczególnych jednostek, wysiłki prywatne, maszyna państwowa jak dotychczas zachowuje się w najlepszym razie biernie. Ale nie trzeba się tem zrażać, lub tych początków lekceważyć. Jesteśmy dziś nieco zdemoralizowani wielkiemi gestami, potokiem subwencyj, płynących z kas państwowych w niektórych kierunkach itd. Przypomnijmy sobie jednak, że największe dzieła naszego odrodzenia zaczynaliśmy z niczem i prowadziliśmy skutecznie ubogiemi środkami. Oto w tym samym numerze „Kur. Pozn.", z którego zaczerpnęliśmy wywiad z p. Maciejewskim, znajdujemy szereg listów Alfonsa Parczewskiego z r. 1882 w sprawie powstających „Nowin Śląskich". W jednym z nich A. Parczewski pisze o zaliczce 20 marek na kupno czcionek, a później jeszcze o 25 rublach na ten sam cel. Od takich zawrotnych sum, jak 20 marek i 25 rb. rozpoczynało się uaktywnianie polskości na Śląsku. A do czego doszło.

ARGUS

NA MARGINESIE

Osobliwy sposób pocieszania się wynalazł konserwatywny „Czas". Atakowany w „Szopce politycznej" (Café Club) bezlitosną satyrą, zabłąkany na froncie żydowskim, usiłuje zrobić dobrą minę:

„Niewątpliwą jest rzeczą"—pociesza się—„że dowcip nie ima się ludzi małych. Natężenie złośliwości jest do pewnego stopnia miarą popularności. Nikomu dziś nie przyjdzie na myśl wyśmiewać np. „Myśl Narodową". Dowcipy na ten temat byłyby niezrozumiałe. Satyryk instynktownie odgaduje to nieubłagane prawo humoru, prawo satyrycznej selekcji"...

Niewątpliwie Papkin popularniejszy jest od Cześnika, ale czy to jest miarą jego wielkości? Targowiczanie według „Czasu" musieli być bardzo popularni. Jak świadczy wydane obecnie studjum J. Nowaka o satyrze w dobie Targowicy, ulegli oni również „prawu satyrycznej selekcji".

*

Dość ponuro wygląda polemika w sprawie powieści Wołoszynowskiego „Było tak". Krytycy mieli doskonałe karty w grze o wartości literackie, tymczasem po tamtej stronie ukazały się atuty z zapełnie innej talji kart. A więc była to pułapka literacka. Okazało się bowiem, że opowieść „historyczna" p. Wołoszynowskiego nie miała bynajmniej na celu prawdy historycznej.

Obrońcy tezy z łatwością krytykę zagwoździli.

*

Czasopismo literackie, wydawane przez żydowskich pisarzy, w celu zmistyfikowania czytelników wypuściło w świat w dniu 1 kwietnia, obok zwyczajnego wydania, numer całkowicie obliczony na *Prima-aprilis*. Efekt jednak był chybiony, bo nikt nie mógł odróżnić, które wydanie było serjo, a które dla kawału.

Wszystkim czytelnikom i przyjaciołom „Myśli Narodowej" życzymy WESOŁEGO ALLELUJA!

Redakcja.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.